

**OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE  
W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

---

**Wywiad z Emilem BRONIARKIEM  
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego  
w Warszawie, dn. 18 kwietnia 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankierem Fundacji KOS, która prowadzi badanie zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu... i ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945- 1989, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

**Czy mógłby się Pan przedstawić?**

Emil BRONIAREK

**Data i miejsce urodzenia?**

11. 07. 1952 – Pruszków

**Chciałbym porozmawiać z Panem na temat Pana rodziny, kim byli Pana rodzice?**

Znaczy mama?

**I tata i mama..**

Ojca to nie pamiętam, bo miałem półtora roku jak zmarł, tak że nie jestem w stanie nic na ten temat powiedzieć; jakiejś dalszej rodziny ojca też nie bardzo znam. [Ze strony mamy był] w AK Józek Pestrakiewicz- cioteczny brat (nie żyje). Drugi brat był w PZPR, a mama jak mama, pracowała sobie w Ursusie, bezpartyjna.

**Czy ma Pan jakieś rodzeństwo?**

Mam starszą i młodszą siostrę . Jedna mieszka w Żyrardowie, druga tu w Ursusie - i to wszystko.

**Czy rodzice Pana też mieszkali tu w Ursusie?**

Mieszkaliśmy w Pruszkowie, a przeprowadziliśmy się do Ursusa w 68 roku. Ja miałem wtedy 16 lat.

**A jakiego pochodzenia byli rodzice?**

Robotniczego, chociaż dziadek mój ze strony mamy miał swoją firmę, ale podaje się [pochodzenie] robotnicze.

**Czy Pana rodzice byli zaangażowani w jakąś działalność społeczną? W jakim okresie? Jakiego rodzaju była to działalność?**

Mama [pracowała] w fabryce. Tam gdy [ludzie] mieli jakieś potrzeby, to ją wybierali. Szła jako delegat załatwiać jakieś tam sprawy, komuś coś pomóc. Ona tam lubiła chodzić i załatwiać.

### **jako delegat...**

Wybierali ją zawsze tam, gdzie pracowała.

### **Czyli w Ursusie, tak?**

Tak, w Ursusie.

### **Jak Pan wspominał rodzice nie byli w PZPR?**

Mama nie, a ojciec... też nie.

### **A jakie wartości były w rodzinie szczególnie ważne?**

Wie Pan co, czy myśmy mówili o wartościach? Rozmawialiśmy tak w ogóle o życiu, ale ja nie myślałem, że [to chodzi o] jakieś tam wartości. Ja wyniosłem z domu to, co wyniosłem, a czy o wartościach jako takich myśmy rozmawiali? Powiem uczciwie: nie brałem tego pod uwagę. Rzeczywiście interesowała mnie historia: to co się działo, jak sowieci na Polskę napadli i takie inne rzeczy, ale wtedy ja nie przyrównywałem tego zbyt do wartości. Byłem młodym człowiekiem. Wiedziałem, że to jest złe i koniec. Tak jakoś miałem to wewnątrznie...

### **To nie było wpajane za pomocą szczególnych pogadarek, konferencji...**

Nie, nie, z mamą żeśmy rozmawiali o Katyniu, o różnych rzeczach, ale to nie było jakieś wpajanie we mnie. Na przykład: przede wszystkim nie byłem wychowany jako antysemita, bo to, co widzę teraz, to mnie trochę zaskakuje. Zresztą ja cały czas siedzę i główkuję, po czym tych Żydów poznawali. Jak chodziłem [do szkoły], w I klasie miałem religię [i] kolegowałem się z takim Olkiem, no to rzeczywiście mu zazdrościliśmy, że on godzinę wcześniej kończy te lekcje i idzie grać w piłkę. My przez to okno żeśmy z taką zawiścią patrzyli, że on tam gra, a my jeszcze musimy tu siedzieć.

### **A on kończył wcześniej...**

No bo właśnie on był pochodzenia żydowskiego, ale myśmy nie odbierali tego [jako czegoś złego], tylko że zazdrościliśmy mu, że on wcześniej poszedł tę piłkę kopać. Może to mogli zrobić odwrotnie: na pierwszej lekcji religia i koniec, a nie na ostatniej. Po drugie: znałem i mam do tej pory - tak uważam - wielu przyjaciół Żydów. To też jest bardzo ważna rzecz i szanuje ich przede wszystkim za ich poglądy.

### **Porozmawiajmy na temat Pana działalności społecznej i opozycyjnej. Czy należał Pan do jakiś organizacji?**

Nie

### **... kościelnych, młodzieżowych?**

Nie należałem do żadnych organizacji. [Gdy] miałem 17 lat mama namówiła mnie i jeszcze paru moich kolegów na taki czyn społeczny w Ursusie. Chodziło o umycie szyb na hali, tam gdzieśmy pracowali, żebyśmy po prostu mieli więcej światła dziennego. I właściwie wtedy pierwszy raz zrobiłem się taki antykomunista, bo wyzywano nas od czerwonych pajaków, jak to robiliśmy. Żaden z nas nie był w partii, ale po dwóch tygodniach przeczytaliśmy, że ZMS rozdzielił sobie pieniądze za te mycie szyb. Ja wtedy pamiętam miałem 17 lat, jak w tym Ursusie zacząłem robić. Poszedłem do matki

[i] miałem straszny żal do matki o to. Poczułem się okradziony, że jak to jest: ja umyłem, a tamci sobie wzięli pieniądze. Ja tego nie mogłem zrozumieć. Ja właściwie wtedy już wiedziałem, że to jest banda złodziei i oszustów, i wszystko. Zresztą, jak się [temu] przyglądałem w Ursusie, to było kółko wzajemnej adoracji. Jeden drugiego popierał kosztem innych ludzi. To było coś okropnego.

### **Jakie Pan zajmował stanowisko przed stanem wojennym?**

Przed stanem wojennym, to powiem Panu, w 1978 roku zacząłem współpracę ze środowiskiem KOR-owskim, (ale to tak jeszcze skromnie). Dochodziła do mnie bibuła „Robotnik”, później książki z „Kultury paryskiej”. Skończyłem te dwadzieścia parę lat, z takim Pawłem się zakolegowałem, to pojechałem do klubu indyjskiego posłuchać. Też sobie miejsca nie mogłem znaleźć. Ten 76 rok w Ursusie już przeszedłem, te pierwsze podpisy KOR. Ja myślałem, że to czerwoni dali, bo tam napisane było, żeby tych kolegów przywrócić do pracy, bo nie możemy wykonać planu. Ja wziąłem to, pozbierałem parę podpisów, a potem pamiętam takiemu facetowi, też nie pamiętam, jak się nazywał, mówię: „Słuchaj, ty jesteś partyjny, zbieraj to!”. I on zaczął zbierać. No i rąbnęli te podpisy i taki rozżalony byłem. A Henio Wujec mi ostatnio powiedział: „Nie bój się, nie trafiły tam, gdzie potrzeba, jak wam to zabrali.” I to było pierwsze [zetknięcie] z KOR-em, a potem dwa lata długo nic. Powiedział kolega, że mnie zapozna z niektórymi ludźmi z KOR, jak im postawię litra. No to postawiłem tego litra. Właściwie to było moje wejście do opozycji za litra. Później jeszcze tego „Robotnika” dostałem. To był jakiś taki dziwny strach. Tam telefony były podane. Kurde, jakoś tak nie mogłem się przemóc na początku. A później dotarłem do Bogdana Bujaka i on mnie pociągnął na spotkanie z Jackiem Kuroniem. I tak się już zaczęło. I powiem, że Jacka Kuronia bardzo lubiłem, cenię. Henia Wujca, Jasia Lityńskiego poznałem później. Z Jasiem to się widuję, jak gdzieś jesteśmy, to rozmawiam. Z Heniem tak samo. Nieraz go tam od czasu do czasu zapraszamy, bo ja uważam, że on tu w Ursusie dużo przyjeżdżał, pomagał ludziom. W 80 roku byłem jeszcze na zwolnieniu lekarskim. Wtedy miałem pecha. Po 1 lipca Ursus zastrajkował. Wtedy Bujak do mnie na wydział przyleciał z „Robotnikiem” i właściwie od lipca to u nas gorąco było, bo wszędzie strajkowali. Co strajk, to nowe, inne, mocniejsze żądania. I pamiętam 20 sierpnia przyszedł Zbyszek Bujak i mówi: „Chłopaki, musimy się spotkać poza zakładem!”, i powiedział: „Słuchajcie, podaję wasze nazwiska.”, bo on taki był. Ale spytał się, czy się zgadzamy, [choć] powiedział, że już podaje. Mówi: „ciebie” – do mnie mówi - [i] do Stasia Karpezy. Podąłem mu Pietrzyka, (o tym Pietrzyku bardzo mało się mówi). On [jeden] z tej naszej czwórki był w Partii i był najstarszy z nas. Tak że to był zdaje mi się taki szok w Ursusie dla co poniektórych partyjniaków. [A więc] żeśmy się podpisywali pod komunikatami. Powstał nasz Robotniczy Komitet Solidarności (MKS) ze strajkującym Wybrzeżem. Wydaliśmy tylko trzy komunikaty. Później pojechałem jako delegat [do Gdańska]. Zbyszek Janas był w odwodzie, że jakby nas zamknęli, [to] on następną grupę wprowadza [i] pociąga to dalej. Pamiętam, pojechaliśmy do Gdańska 30 sierpnia jako delegacja. Jak [byśmy] mieli 1 września nie wrócić, to Ursus miał strajkować, to znaczy jakby się nam coś po drodze stało. Tam pojechało nas chyba kilka osób. [W końcu] pojechał wtedy oczywiście Janas, [a] Zbyszek Bujak został, bo w Leśnej Podkowie była, o ile pamiętam, głódówka. Z Gdańska wróciliśmy w niedzielę. W poniedziałek zakładaliśmy związki zawodowe. Na początku byłem jako założyciel. 4 września podpisaliśmy przy Zakładzie pierwszy statut „Mazowska”. Pamiętam redaktor Zieliński zaproponował (to jest ważne, bo człowiek już nie żyje), byśmy umówili się, jak w Warszawie nazwać te związki: czy to warszawskie czy nie. A on powiedział: „Wiedziecie co, chłopaki, Mazowsze, bo Mazowsze jest duże.”. No i stąd powstała nazwa „Mazowsze”, bo chodziło o wielkość tego [związku]. Później te związki powstawały regionalnie na zasadzie tego [związku].

Później przyszedł ten Region Mazowsze. Trzeba powiedzieć, że na początku bardzo nam pomagał w Ursusie Henio Wujec. I te kontakty z KOR dużo dały, bo kilkanaście osób z nas miało dużo [wspólnego] z KOR. Ja twierdzę, że „Solidarność” w Ursusie, to właściwie KOR założył. Co kto chce, to niech mówi, ale ci pierwsi, to właśnie byli ludzie, którzy współpracowali z KOR. Ja tylko zawsze żałowałem, że ci, którzy [byli] po 76 roku jakby nie chcieli się włączać. Mi się wydaje, że może oni byli bici, w przeciwieństwie do nas. Ten strach w końcu robił swoje. Później byłem oddelegowany do pracy w Regionie Mazowsze. Przed samym stanem wojennym (z miesiąc, może ze dwa) chciałem wrócić do Ursusa. No i taka decyzja zapadła, że ja wracam. I w tym momencie Niezależna Oficyna [Wydawnicza] Nowa zaproponowała mi, żebym dostał maszyny drukarskie i czy nie zostałbym szefem „Nowej” w Zakładach Mechanicznych Ursus.

### **Jako drukarz?**

Jako szef tej drukarni, ale też i drukarz. Ja zaproponowałem, że będę u siebie pracował [w Zakładzie], i [jednocześnie] będę doglądał [drukarni] jako szef. Ale się okazało, że tak się nie da, że albo dalej [będę] robić na montażu albo w tej drukarni. „Nowa” akurat do mnie miała zaufanie [i] nie chciała [się zwracać] do kogo innego, bo to był ich sprzęt. No to wymyśliłem, że mi się [to] jednak będzie opłacać pod takim względem, (nie chodzi o finanse) że załoga będzie miała książki. Dogadałem się, że ileś tam procent książek będzie można sprzedawać w Ursusie. [Chciałem] dla tego Zakładu więcej pociągnąć. Miałem taką umowę, że w razie jakiegoś strajku generalnego, ja z tym sprzętem automatycznie przechodzę do związków i zaczynam wszystko drukować dla „Solidarności”. Drukowałem w „Nowej”. Właściwie najpierw byłem w Komisji Interwencji w Regionie Mazowsze [,ale] byli Romaszewscy, no to trzeba było ich zaprosić. Później byłem szefem drukarni: chodziłem, pytałem. Ja się na tym nie znałem. Chciałem ściągnąć Mirka Chojeckiego, Konrada Bylińskiego. Oni odmawiali, a [ja] nie znałem reszty drukarzy takich jak Witek Łuczywo, Andrzej Zieliński. Oni na sicie drukowali. No i Henio Wujec podsunął mi: „może Witek Łuczywo?”. Ja wcale, wbrew pozorom, nie chciałem szefować, jak niektórzy uważają, bo stołek to jest wielce. Ja uważałem, że lepiej oddać komuś lepszemu, a przy nim być i się coś nauczyć. Tak że szefem dużej poligrafii został Witek Łuczywo, ja zostałem [szefem] jakby tej mniejszej. Taka umowa była. Tyle tylko, że chciałem wrócić do Ursusa, bo ja już byłem tym zmęczony. Brałem dyżury nocne, jak gdzieś tam wyjeżdżali. Dość długo obejmowałem właściwie wszystko, aż w pewnym momencie zacząłem się gubić, bo za dużo [było] tych informacji. Taki się tym poczułem zmęczony. Pamiętam przez pierwszy rok „Solidarności” to wszystko wiedziałem, taki chodzący komputer. Wszystko czytałem, nawet po kilka razy, a potem głowa moja zaczęła nie obejmować tego. Za dużo, ja się wystraszyłem, że ja sobie krzywdę robię.

### **Ile Pan miał wtedy lat?**

28, jak się zaczęła ta „Solidarność”.

### **Przejdźmy teraz bezpośrednio do stanu wojennego**

Właściwie jak stan wojenny wybuchł, musiałem się jeszcze wrócić [do Ursusa]. Byłem rano w Ursusie, w „Solidarności” i odebrałem dwa telefony. Oni mieli zebranie na sali. Ja [coś] szykowałem, bo w nocy chciałem dokończyć drukowanie książki Herlinga-Grudzińskiego, bo mieli w sobotę przyjść do składania ludzie (mieli luz, bo zakład nie pracował). I odebrałem taki telefon, że będą w nocy aresztowania. A więc ja poszedłem: „Słuchajcie, wy tu sobie obradujecie, a ja odbieram już drugi telefon, że w nocy będą aresztowania.”. Oni mi powiedzieli, że od dwóch tygodni takie coś dostają i mówią, żebym dał sobie spokój. I pamiętam, żeśmy zakładali partię polityczną w Regionie. To

było wtedy. Ja wyszedłem (to się skończyło w Regionie około 10) i przyjechałem do mamy, i jeszcze do mamy powiedziałem: „Wiesz co, jest 11, wiesz jak mówią, ale ja idę dokończyć tę książkę.” I rzeczywiście o 12 zaczęli robić aresztowania. Pamiętam wtedy jeszcze rozmawiałem telefonicznie z Regionem. Łączność z Regionem mi zerwali 12.05. Pamiętam, bo patrzyłem na zegarek. Nasz błąd polegał na tym, że myśmy mieli telefony ludzi, a nie adresy. Nikt nie zbierał adresów. Tylko telefony się zbierało. Wsiadłem ostrzegać kolegów. Spóźniałem się, ale nie do wielu, bo trzech wyciągnąłem z domu. A do internowania z Ursusa było nas przeznaczonych pięciu: ja, Staszek Karpezo, Zbyszek Janas, Bujak i Wojtek Gilewski. Właściwie zwinęli tylko Wojtka Gilewskiego i Staszka Karpezo.

### **Czyli przy podejmowaniu działalności opozycyjnej była świadomość ewentualnych represji?**

Cały czas wiedziałem, że tak będzie. Do tego kierowcy jeszcze mówię, że to się na dłuższą metę szykuje ta awantura, bo taki atak na związek, bo to nikt nie myślał o stanie wojennym. „Podjedziemy do domu.” Mieszkałem tutaj na Sosnkowskiego [i] vis a vis mojego bloku był hotel. Jak podjeżdżałem do domu [zobaczyłem, że] policja obstawiła hotel, [a] po mojej stronie stały dwa radiowozy. Rzuciłem kątem oka na okno: we wszystkich się świeci. Jak ja wychodziłem [z domu], matka już leżała w łóżku, a więc coś nie tak. Mówię: „Jedziemy, bo u mnie już jest policja!”. Później się okazało, że wyłamali drzwi. Tak samo zaatakowali siostrę w Żyrardowie, bo ona była tam przewodniczącą w Stelli, w „Solidarności”. Tam też wyłamali drzwi. No i cóż, ja już do domu nie wróciłem. Troszkę tu, troszkę tu. W poniedziałek zaproponowali mi koledzy, żebym czekał w kościele na Gołąbkach na wiadomość. O 6 tam wszedłem i usiadłem. Ksiądz mi jeszcze taki słój z wodą przyniósł, żebym mógł jarać za ołtarzem. On już wiedział, że mi wyłamali drzwi i że mnie szukają. „Tutaj siedź – mówi - pal!” I takie hasło nam dał od niedzieli, żebyśmy (nawet w czasie Mszy) mogli pod obrusikiem przy ołtarzu wymieniać sobie informacje, żebyśmy nie zważali na nic, że możemy to robić. Z tym, że on uprzedzał tych wiernych na Gołąbkach tu w Ursusie. Ale nie wytrzymałem i poszedłem na Zakład. Wszedłem na Zakład. Zakład częściowo robił, częściowo strajkował. Poszedłem do siebie na wydział dużego ciągnika. Chłopaki w najlepsze robili, trochę tacy zastraszeni byli, tak że nie bardzo wiedziałem, o co im chodzi. Tam też zrobiła się ciekawa sytuacja: jak mnie zobaczyli, tak wszyscy rąbnęli tę robotę. Ja słowem nie powiedziałem, że nie robimy, czy coś [takiego], tylko wszyscy rąbnęli, jak mnie zobaczyli. Ja później dopiero zobaczyłem, że są nasze nazwiska na listach. Ktoś powieszał, że jesteście aresztowani. No to ja się tam podpisywałem przy swoim nazwisku, że już jestem. I tak po całym Ursusie chodziłem i przy tych gablotach się podpisywałem. Wieczór się zbliżył. Wtedy spotkałem się z matką. Właśnie matka mi podała informację, że Kryśka została brutalnie internowana, bo ją ciągnęli za włosy po schodach, i że mojego szwagra pobili, bo zamiast skakać z tego niskiego pierwszego piętra i uciekać, to ona dzwoniła, nie wiadomo po co, jak telefonów nie było. Tak zaczęło się moje ukrywanie, bo już wiedziałem [,że jestem poszukiwany]. No i ten strajk pioruński. O godzinie 11 żeśmy się liczyli. Było nas 1250 parę osób. Ale ludzie widać [było], że się bali i uciekali. Wykruszali się. Kobiety żeśmy wypuścili. Zostały właściwie na strajku trzy kobiety: żona Zbyszka Bujaka, moja mama i Ala Szot. I była taka pani, która przyszła na trzecią zmianę. Ona wydawała obiady. Ona u siebie siedziała, tak że jej nawet nie ruszyli. Zapomniałem nawet jak się nazywa.

### **W czasie stanu wojennego był Pan żonaty, rozumiem?**

Nie, jeszcze byłem kawalerem. Później byłem żonaty, ale żałowałem [tego].

## **Skończyliśmy na strajku...**

O 12 w nocy część ludzi poszła na narzędziownię. Przedtem jeszcze poszedłem na licencję, gdzie ludzie pracowali i tam (teraz się dowiedziałem od Mariana Srebrnego) mnie napadli czerwoni. Ja wiedziałem, że mnie tam napadli czerwoni, tylko że nie pamiętam, że ja się z nimi mocno poszarpałem. On to widział, ja nie. Ja widziałem tylko dwóch. Jednego rzuciłem na taką kratę. Od razu do mnie dolecieli. Ja powiedziałem, że my ten Zakład przejmujemy. No ale Marian zaczął ludzi buntować i oni przyszli mi na odsiecz. I mówię: „Słuchajcie, my nie utrzymamy całego tego Zakładu.” I wtedy złożyłem propozycję, żeby oni wszyscy poszli bliżej narzędziowni, że tam nam będzie wygodniej. No i tak żeśmy poszli. Przed samą 12 poszedłem na mały montaż zobaczyć, czy tam się ludzie nie pochowali. Do dzisiaj jeszcze mam takiego kolegę, który zawsze uważał, że ten montaż jest najlepszy i zawsze się przechwalał. Więc ja to zrobiłem po części złośliwie, żeby mi w przyszłości nikt nie powiedział, że on się tam schował i przeczekał, bo tak też można. No więc ja żeśm poszedł tam z Arkiem Czerwińskim i właśnie jak żeśmy wracali sobie pieszo tak na luzie, usłyszeliśmy warkot silników. Ja mówię: „Arek, jada!” My szybko na halę. No i jak żeśmy wpadali na te hale, no to zdjęcia nam z boku robili, bo to wszystko błyskało. Widziałem [jak] podjeżdżali tymi opancerzonymi samochodami. Wpadliśmy na halę i takiego chłopaka pytam: „Macie tę kłódę, żeby zamknąć te metalowe drzwi?”, a on mi, pamiętam jak dziś, taki miedziany drucik dał. Mówię: „Rany boskie, ludzie, my do niczego nie [jesteśmy] przygotowani .”. Bramę atakowali ludzie pana Dziewulskiego. Pan Dziewulski wpadł do hali z tymi swoimi, ja to nazywam, zbirami. Było mi bardzo wesoło, bo nie mogli wejść przez ten drucik. Jak by się który dobrze zaparł, to by to wypchnął. Oni musieli przy zamknięciu jakiś ładunek [podłożyć], bo dziurę wywalili. To było dla mnie żenujące. Skąd pamiętam pana Dziewulskiego? Ja nie znałem wtedy jego nazwiska. Nazwiska Dziewulskiego dowiedziałem się później, jak taki zwariowany chłopak porwał autobus i dziewczynie trzymał petardę przy szyi, i na Okęcie kazał się wieść. Wtedy padło imię i nazwisko Dziewulskiego. Tylko [w czasie pacyfikacji strajku] ja na tę gębę tak patrzyłem, że powiedziałem: muszę cię zapamiętać, żeby cię w przyszłości rozpoznać. Wtedy w kominiarkach nie ganiłi. To on wybierał z takim policjantem zakładowym, panem Szczepanikiem ludzi po nazwiskach. Ale jak już oni wpadli na tę halę myśmy się tak zbili w gromadkę, te 350 osób, bo każdy z nas bał się, co tu dużo mówić...

## **Tyle się ostało z tych tysiąca dwustu?**

Tak, było nas 350 osób. Ale na drugiej hali też część została, tylko oni na tę drugą halę nie weszli. Oni weszli tam, gdzie był Komitet Strajkowy. Więc mieli dobre dane, bo powpuszczali między nas dużo ubeków, a nie wszyscy musieliśmy się znać. Ursus to było właściwie 17 tysięcy osób, więc jak miasteczko. Jak Dziewulski wskoczył z pistoletem maszynowym „Rak”(to mi później koledzy wytłumaczyli, bo ja w wojsku nie byłem), [to] tylko wiedziałem, że to jest ich dowódca. Stał na pojemniku z takimi śrubami, gdzie mu się noga mogła obsunąć. Teraz wiem, że mieli ostrą amunicję. Wycelowano w nas. U nas ta grupka ludzi zaczęła śpiewać Hymn, to ja krzyknąłem, że nie śpiewamy. Ta grupka ruszyła, zacząłem być wypychany w ich stronę. Krzyknąłem, bo jeszcze pół godziny przed pacyfikacją drukowałem na powielaczu pismo Krupińskiego na papierze pakowym, że to ma być bierny strajk, mamy nie atakować. I ja się tego trzymałem, że po prostu biernie stoimy. Zatrzymują nas, to nas zatrzymują, nie robimy awantury. Ale pamiętam, jak skończyłem drukować, to poszedłem do takich chłopaków, poprosiłem ich, żeby schowali tę maszynę. Mówię: „A ja do was dotrę, wy się nie przejmujcie; jak ja będę bardzo chciał, to was znajdę, bo ja nie chcę wiedzieć, gdzie to jest.”. Zabezpieczałem się [na wypadek] aresztowania. Miałem wyłamane drzwi (tylko ja i Jan Józef Lipski na tym strajku mieliśmy wyłamane drzwi). Tak troszeczkę się

obawiałem tego, że może będę sypał, bo to różnie wychodzi. Jak będą mnie bić, [to może] nie wytrzymam. Człowiek ma jakieś obawy. [No więc] sprzątnęliśmy cały sprzęt „Nowej” i w niedzielę oddaliśmy [go] studencikom. On tam [w Ursusie] nie wpadł. Wpadły ryzy papieru, wpadła flaga „Solidarności”, (co mnie wyrzucali, że nie wziąłem, ale ja myślałem o czym innym) ale nie wpadł sprzęt drukarski. Jeszcze godzinę przed pacyfikacją przyszedł na Zakład Wiktor Kulerski i padła propozycja, że ja z takim Tadeuszem mamy zostać na strajku, a reszta tych działaczy ma wyjść. Ja nie bardzo rozumiałem, dlaczego oni mają wyjść, a ja mam zostać. I powiedziałem to Janowi Lipskiemu, że ja zostaję. Chciałem poczekać, co moi koledzy odpowiedzą. I tu Witek Kaszuba pięknie się zachował. Powiedział, że ludzie go wybrali i on z nimi zostaje. Nawet z jednym człowiekiem zostanie, jeżeli zostanie jeden człowiek. Bardzo go przez to polubiłem. On później za mnie dostał 3 lata za tę awanturę na licencji, o tych partyjniaków poszarpanych, bo zwalili to na niego. Mówili, że to był facet w kożuszku, a przecież jak go ze strajku wzięli, on kożuszka nie miał na sobie. A ja się schowałem za takiego wielkiego chłopaka, bo Jan Józef Lipski powiedział, żebym spróbował wyjść, że jest umówiony z korespondentami zachodnimi w „Bazyliuszku”, w tej kawiarni na Starym Mieście. A więc jak mi Lipski powiedział, że jestem młodszy od niego i żebym spróbował, no to odszedłem od niego. A wszyscy działacze poszli koło niego, no bo rzeczywiście szukali wsparcia, autorytetu, a ode mnie wszystko zjeżdżało, jak od trędownego, bo [miałem] wyłamane drzwi. Ale nie uciekła ode mnie moja mama i żona Bujaka. I ja jeszcze do żony Zbyszka Bujaka mówię: „Słuchaj, Wacka, idź tam z drugiej strony, bo ja nie będę szedł tutaj, ja idę na tych pałkarzy, co tak strasznie walą. Tam po grzbiecie – mówię - dostanę i mnie wyrzucą, bo muszę wyjść. Jan Józef Lipski kazał.”. A matka i Wacka nie chciały mnie puścić. Wacka mi powiedziała, że ona jest tam, gdzie stara gwardia, i stoi twardo przy mnie. A moja matka posiwiała właściwie jednego dnia. Taki porucznik tam stał i do mojej matki [powiedział]: „Pani, w tym wieku?”, a matka [odpowiedziała]: „Jestem tam, gdzie moje dzieci.”. A on pyta: „a które to pani dziecię?”, a matka mówi: „a tu”. Na taką grupkę nas oddzielił. Było nas 11 osób, bo później żeśmy się policzyli, i on mówi: „Idźcie!”. Byliśmy jedyną grupą, która wychodziła z Zakładu bez eskorty, ale nas jeszcze na skrzyżowaniach zatrzymali. Ile wyzwisk usłyszałem! W pewnym momencie już nie wytrzymywałem, bo jak na matkę „kurwo” mówią, no to... Tu mnie kopnęła Wacka Bujakowa: „Spokojnie, a może uda ci się wyjść.”. [Był] jeszcze problem. Bałem się na bramie, bo ubecy się ustawili nie przodem do ludzi, tylko przodem do wartowników. Patrzyli, jak wyprowadzali kogoś, na ich reakcje. I mówię: „Rany boskie, jak ja ich znam, wielu z nich po imieniu?”- to jak dochodziłem do tej bramy, to tak myślałem, żeby może gdzieś tam zwać z boku, ale Wacka mówi: „Wal prosto, ty dziś masz wyjść z Zakładu, a nie zostać na nim, nie?”. Moja mama też [mnie] ciągnęła. Jak dochodziłem [do bramy], to już wyczułem, [że] wartownicy patrzyli ponad głowy. Staralem się nie patrzeć na twarze, tylko ponad głowy, tak że ładnie przeszedłem i wyszedłem. Wygląd tego Ursusa [był następujący]: od wyjścia do tunelu stali jacyś młodzi żołnierze, takie dopiero co powołane młode roczniki. Niektórym łyż widziałem [pływały]. Utkwiły mi [w pamięci] takie grube płyty śniegu i dwa pociągi podstawione na stacji: jeden w kierunku wschodnim, drugi w kierunku zachodnim. Tej nocy poszedłem do domu. Usnąłem właściwie na siedzący, bo już od piątku moje spanie było po godzinie.

### **Jaki to był dzień? Poniedziałek, wtorek...**

Nas pacyfikowali z 15 na 16. Od nas zaraz pojechali do Huty. Jeszcze warto powiedzieć, że z 12 na 13 żeśmy wydali w Ursusie komunikat o strajku, i tak [jak] na początku żeśmy się podpisali. Przyjechał Tadzio Wypych z Regionu. Przyjechali chłopcy z Regionu, drukarze, którzy uciekli przed tą pacyfikacją, dlatego wtedy mogłem

dużo wydrukować tych ulotek, bo miałem na czym. Miałem papier i miałem maszyny. Później ten sam tekst poszedł już w Regionie Mazowsze, bo nie wiedzieli jak splotić pismo, no to zerznęli to, co z Tadzkiem [zrobiliśmy i] każdy coś tam dodawał. Tylko w pierwszym [numerze] żeśmy się podpisali, później Tadzio Wypych powiedział: „Wiecie co, może się nie podpisujemy, tylko dajmy to jako „Solidarność”.”. I może to był dobry pomysł, bo by się przyczepili znowu o samo podpisanie. No i później zaczęło się to moje ukrywanie.

### **Czy cały okres stanu wojennego Pan się ukrywał?**

Ujawniłem się 28 października 1983 roku. Ale ujawnialiśmy się nie dlatego, że [po prostu] się ujawniamy. Ja się ujawniłem tylko dlatego, że, tak prawdę mówiąc, nie mieliśmy zbytnio gdzie mieszkać. Szukaliśmy miejsc na maszynę, a ja często spałem gdzie się dało. Był czas, że i w stodole, był czas, że i w piwnicy, ale dużo ludzi nam osobiście pomagało, tak że nie mogę narzekać. Nie tyle szukałem mieszkania, ile najpierw szukałem [miejsca], gdzie by maszynę postawić, a reszta, to jakoś tam będzie. Witek Łuczywo poszedł do domu. Ja spytałem chłopaków z Ursusa, którzy powychodzili z więzienia, co ubecy o mnie wiedzą. A więc wiadomo, że wiedzą to, że byłem na strajku, bo Arek Czerwiński mówi: „Ty, oni mieli zdjęcie jak ty ze mną biegniesz.”. Ja się do tego przyznałem, bo to z czegoś wynikało.

### **A Pana mamy nie nachodzili?**

Nachodzili, cały czas rewizje robili. W przeciwieństwie do pani Blindy, to pościel potrafili jej wyrzucić i deptać tam w mieszkaniu, wyzywać ją od kurew, że dzieci bandytów ma. Tak że jak słucham, że tam weszli, grzeczni byli, a ktoś sobie strzela w łeb... Mnie też pilnowali, jak przywieźli na rewizję kiedyś po wpadce, żebym do okna nie dochodził, ale ja nie miałem zamiaru ani samobójstwa popełniać, ani nic [z tych rzeczy], bo jak bym chciał, to bym razem z nimi wyleciał: złapałbym, wleciał w szybę i koniec. No ale nie miałem [takiego] zamiaru. Tak że przychodzili do matki. Zresztą wtedy wpadłem na genialny pomysł. Taki facet, który był „cichociemny”, mówi: „Masz gorzej jak ja, bo volksdeutscha z daleka widziałem, a ty nie; ale zacznij myśleć ich kategoriami.”. A więc do mnie doszło, że za każdym razem, kiedy przyjdą na rewizję, wyzywają matkę, że dzieci bandytów wychowała. O co chodzi? O skłócenie rodziny. A więc później poprosiłem kolegów i koleżanki, żeby mi kiedyś doprowadzili na spotkanie matkę. Matkę przekonywałem przez dwie godziny, a ona nie chciała tego zrobić. Wreszcie powiedziałem: „Mamo, no jak tego nie zrobisz, będą cię wyzywać.”. Namówiłem matkę, żeby przy nich, jak oni wejdą wyzywała mnie, siostrę i ich przy okazji, wszystkich równo. I to chwyciło. Przez rok czasu do matki nie przychodzili. Oni uważali, że osiągnęli swoje: że skłócili matkę z nami, koniec kropka. Cel osiągnięty. Nie uważam ich za głupców, bo przecież oni też głupolami nie byli. Ja nawet podejrzewam, że oni trochę tę robotę olewali, bo jakoś tak zawsze odczuwałem, że byli krok za mną, że zawsze miałem deptane po piętach. No i zacząłem drukować „Tygodnik Mazowsze”. Jeden lokal, drugi lokal, później pod Milanówkiem u takiego Józka Michalaka. Przyjechali do niego w nocy. On był w Milanówku zameldowany. Pod Milanówkiem żeśmy drukowali, u jego ojca na gospodarstwie. I on to gospodarstwo dostał. I ubecy tu już zawali sprawę, bo nie sprawdzili, że Józek tam mieszka z żoną. A w Milanówku kurde węgiel i ziemniaki przerzucili, szukali drukarni. Cała tragedia polegała na tym, że przyjechał jego zięć o drugiej w nocy na rowerze z tego Milanówka, bo to [było] trzy kilometry od Milanówka. Powiedział to mu, Józek powiedział to mnie, ja stanąłem jak dupa, za przeproszeniem, bo gdzie ja w nocy znajdę transport. No i poszło to ryzyko. Na drugi dzień żeśmy z Józkiem pojechali do Warszawy, [a drukarnia] została [pod Milanówkiem]. Ten Józek też musiał gehennę przeżywać, jak go zostawiłem i pojechałem po transport. Przyjechałem,



ucieszył się i zostawiliśmy ten sprzęt chyba na dwa miesiące, bo musiałem poszukać drugiego lokalu u znajomej.

### **To był który mniej więcej rok?**

To był drugi [82], bo na Saskiej Kępie też oni, kurde, weszli do mieszkania. Maszyna była w środku, tylko nie znaleźli tego pomieszczenia w mieszkaniu, gdzie ta maszyna stała. To był domek. A więc jakoś tak pół kroku za mną byli, tak mówię, i zawsze mi się udawało. Wpadkę mieliśmy dopiero w 85 roku...

### **Czy przypomina Pan sobie osoby, które pomagały w ukrywaniu, w zmianie lokali?**

Pomagali mi: na początku Marta Wojt i później rodzina Szapirów: Paweł, jego mama, jego tata, Jacek Szapiro; później tak: Krysia Pasik z mężem, oni na Tarchominie mieszkali; później (kurde zapomniałem nazwiska) przy Żelaznej dwie siostry takie mieszkały w wieżowcu, ja tam będę musiał pojechać, bo to warto.

### **I to była pomoc lokalowa?**

Mieszkałem tam. U małżeństwa de Virion. Oni wykładali: ten mąż elektronikę wykładał na studiach. U nich się ukrywałem.

### **Takich przypadków, kiedy nie udzielano pomocy raczej nie było?**

Jeżeli mi ktoś załatwiał tu po Warszawie, to nie, ale nieraz odnosiłem wrażenie [wśród] niektórych swoich znajomych z Ursusa, że [kiedy] tam nieraz przyszedłem, to po prostu przez próg mnie nie puścił. Źle to troszkę odbierałem. Mnie bardziej interesowało co się dzieje [w Ursusie], jak prosić tam o pomoc, bo wiedziałem, że to by było niemożliwe. U paru osób coś takiego odczułem, ale to jest jedno, że przestałem do nich chodzić i do dzisiaj nie chodzę, i nie muszę. Nie było problemu właściwie. Zresztą początki stanu wojennego, to były dość takie jeszcze ciekawe, bo jeden drugiemu [pomagał i] ludzie w ogóle tacy inni byli, przyjaźni. Każdy pomagał każdemu. Teraz po latach to każdy na każdego wilkiem patrzy, a wtedy każdy z każdym się podzielił. Nawet jak widzieli, że to drukarz jest, to przyszedł, ostrzegł, a nie dał znać na milicję. Także tych donosicieli to może nie było aż tak dużo. Podejrzewam, że więcej było później w naszych szeregach, jak ludzi z zewnątrz. Tak że tam nie wiem, pomoc jakąś miałem. Ciężko było znaleźć te lokale, bo to jednak jest duża odpowiedzialność: wziąć kogoś na mieszkanie. Tak jak mieszkałem u tych dwóch sióstr przy Żelaznej, no to przecież te kobieciny: jedna siostra miała jeden pokój, a druga drugi. Oddali mi pokój i gnieździli się w jednym pokoju po to, żebym ja mógł swój tyłek tam położyć i wygodnie mieć swój pokój. No więc, do dwupokojowego mieszkania wziąć kogoś, później mało tego, jeszcze jeść dawać i utrzymywać, to ci ludzie te koszty ponosili. A powiem Panu, że oni najwięcej w tyłek dostali. Często tracili pracę, często tracili wszystko i bez środków do życia zostawali. I przeważnie ci ludzie, większość z nich, ma te renty albo emerytury po 600 złotych i to jest kurde żenujące. A ubecy mają od trzech do dziesięciu tysięcy. To jest najgorsze, że ci ludzie właściwie są w fatalnych warunkach i to dużo [z nich], bo [sam ich] znam.

### **A jak by Pan mógł wymienić te parę osób?**

Przede wszystkim, powiem Panu, Józef Michalak. Ma raka. Teraz byłem [u niego]. Mało tego, miał wylew, a więc on leży. On jest nieruchomy. Z żoną mają te 1500 złotych. Na lekarstwa trzysta mówi, nie drogo, ale on potrzebuje pampersy, na litość Boską. Przydział niby jest tam na tej recepcji, ale to wszystko mało. Ja tak patrzę, to oni to kupują. Jest niby to stowarzyszenie, bo jestem w stowarzyszeniu, [które] wychodzi o te kombatanckie [prawa]. Ja mówię, że może jak to szybko wyjdzie, to on by dostał

jeszcze jakieś dodatkowe pieniądze. Te dwie siostry przy tej Żelaznej, jedna też ma 600 złotych i też jej jest bardzo ciężko. Tylko wie Pan, uciekają nazwiska. Mi zawsze mówili, że jak ja zacząłem o czymś mówić i nazwiska [wymieniałem], to mi kombatanctwo [zarzucano, a] teraz wiem, że ci, co mówili, że bym nie czytał akt, to podejrzewam, że oni donosili i się bali tego. Akta swoje przeczytałem. Nic nie dostałem. Wystąpiłem jako jeden z pierwszych. Byłem 253. osobą, która złożyła. Ja wtedy w [województwie] Lubuskim zamieszkałem, ale złożyłem w Warszawie. Kolega tu mi pobrał. Zanim wysłał, zanim ja odesłałem, znaczy nie odesłałem, tylko przywiozłem, to już trochę [czasu] minęło. Tak że szybko się starałem. Ale nic nie dostałem ciekawego, poodbijałem sobie akta z procesu. Teraz złożyłem taki [wniosek] do chłopaka z IPN-u, żeby mi złożył... chodzi o tę panią Ładę, u której żeśmy drukowali. Osoba bezstronna, która by czytała [akta], to by powiedziała: „Ta kobieta ich sypała równo.”, a [to] jest nieprawdą. Ona po prostu mówiła to, co kazaliśmy jej mówić przy wpadce. Jak my wpadniemy, to i tak będziemy siedzieć, a chodziło o to, żeby zabezpieczyć osobę, która daje nam mieszkanie na drukowanie książek, że ma powiedzieć, zwalić po prostu wszystko na nas: że była biedna, potrzebowała pieniędzy, myśmy ją wykorzystywali i mało płacili, ale ona potrzebowała. I ubecy to łykali, więc ona tylko to mówiła, co myśmy jej kazali. Pamiętam na przesłuchaniu, jak ubek wpadł i mówi: „Te skurwysyny tą biedną kobietę wykorzystywali finansowo!”, to już wiedziałem, że ona mówi to, co my jej kazaliśmy. I ona wyszła. I dzięki Bogu nie siedziała. Ja teraz nieraz się śmieje, niektórym mówię, że siedzieliśmy we trzech, że jeszcze jeden, czwarty by się przydał do domina. Szkoda żeśmy nie sypnęli, nie? Mam takiego kolegę, Przemka Cieślaka, na niego „Poldek” żeśmy mówili tam w drukarni. I syn tej właścicielki [mieszkania] zeznał, że przyjeżdżał taki „Poldek”, przyjeżdżał „Sztruks”. Nazwiska znam, tylko że myśmy pseudonimy podawali. I on to wszystko zeznał.

### **Kiedy zakończyło się Pana ukrywanie?**

Ja wpadłem dopiero w 85 roku. Żałowałem jeszcze jak się ujawniałem (październik 83), bo tam prokurator Zwolak rzucił mi na stół akta, co na mój temat mówili. Parę razy ugryzłem się w język, bo tak byłem spięty, żeby czegoś nie palnąć i powiedzieć, bo ten strach taki [był], a oni głupcy nie są. Ale zachowałem się dobrze, bo się ugryzłem w język jak on mi rzucił najpierw bibułę na stół i zobaczyłem, że tam z powielacza jest ursuska gazeta. Miałem powiedzieć, że ja nic z tym, z tą gazetą nie mam wspólnego, i ugryzłem się w język, no bo wiadomo [że] wyeliminowałbym jedną rzecz. Znaczy że coś mam. Dostałem od niego propozycję, czy chcę w telewizji wystąpić. Dostałem też propozycję [wystąpienia] w radiu, jak nie chcę w telewizji, może wywiadu do gazety. Na wszystko to dostałem propozycję. Mówi: „Oni za drzwiami czekają. Jak Pan chce, to mogę?”. Mówię: „Nie, nie chcę, proszę Pana.”. No i tak, co tam jeszcze ten Zwolak? Pan Zwolak zaproponował mi dobrą pracę w Ursusie, nie pracując fizycznie, tylko bym sobie chodził, niezłe zarobki, jak bym się do związków CRZZ zapisał, za sam zapis. A wcześniej, nieżyjący dyrektor Wilk proponował nam na początku września [80 roku], jak „Solidarność” się zaczynała, po samochodzie „Polonez” i po wili. [To było] przed samym „Mazowszem”, między 1 a 4, żebyśmy się wycofali z zakładania związku. Było takich 30 domków szeregowych we Włochach, a 900 podań na nie było, żeśmy to wyjęli później. To chcieli nas kupić. To było wtedy, jak chcieli mnie kupić i jak się ujawniałem, [też] chcieli mnie kupić. On [Zwolak] cholernie się [dopytywał]: dlaczego się ukrywałem? A ja tak mówię: „No to jak gramy, to gramy.”; „A bo taka jedna pani dostała 10 lat, taka pani Ewa, Ewa...” A on mówi: „Kubasiewicz”. „O,o,o, ja się bałem, to się ukrywałem.” „A czego Pan się bał?” „Dorobić to Pan się wszędzie dorobi na lewo i na handlu i u kogoś coś Pan zrobi – mówię - lepiej jak w tych zakładach pracy.” A taka prawda była, że tak było można. „Ale – mówię - ja się bałem, to się ukrywałem; dlaczego miałem 10 lat

więzienia dostać?” „To nie my, to Sąd Pomorski”- zwał od razu. A ja mu mówię: „a pan Lasocki?” A on do mnie mówi: (Lasocki był z Ursusa, dostał chyba 3 lata, a 5 miesięcy odsiedział, on był chory, to ojciec mu zmarł, to matka mu zmarła, tak po kolei, i go wypuścili, ale to nie ważne) „Wie Pan, ale Lasocki miał słabych obrońców.”. A ja na niego patrzę i mówię: „Nie, proszę Pana, miał bardzo dobrych oskarżycieli.”. Wiedziałem, że to ten Zwolak, prokurator, u którego się ujawniałem oskarżał Lasockiego. Ale wyszedłem stamtąd i tak byłem spięty, że pomyliłem autobusy. W odwrotnym kierunku wsiadłem: nie do domu, tylko w odwrotnym kierunku. Tak skołowany byłem. Spięty byłem do końca. Później mi Witek Łuczywo opowiadał, że przyjechali do niego, wzięli go na Pałac Mostowskich, żeby zeznał i mu powiedzieli: „Taki Broniarek sam przyszedł bez adwokata i się nie bał, a po Pana musim jeździć.”. Ja zaczynałem od Generalnej Prokuratury. Nie poszedłem się ujawniać na Opaczewską, gdzie podlegałem z Ursusa. Wcale mnie nie chcieli przyjąć. Zabrali mi ten dowód osobisty i powiedzieli, żeby jechać na Opaczewską. Mówię: „To dawajcie dowód, ja się nigdzie nie zgłaszam, idę się dalej ukrywać.”, to szybko mnie przyjęli. Pani Prokurator Generalna (ona mi się nawet nie przedstawiła), ja wiedziałem, że ona nie jest z Warszawy, pytała się mnie czy wiem jak dojechać na Opaczewską i czy chcę samochód. Nie, podziękowałem. Zapisała, że jestem nie posiniaczony, nie pobity. To muszę jej przyznać, że ona to zapisała. Powiedziałem, że „przyszedłem tu, bo się boję iść na Opaczewską”. Nie bałem się, po prostu tak sobie wymyśliłem, że ujawnię się w Generalnej Prokuraturze. Przede wszystkim moi koledzy stali pod Generalną Prokuraturą. Później, jak ja wyszedłem powiedziałem im: „Słuchajcie, to wy idźcie do domu, bo ja mam tu już załatwione. Ja dzisiaj będę w domu. Jadę tam na Opaczewską.”. Potem mi takie bzdurne zaświadczenie [przysłali], że tam byłem. A potem mnie najbardziej wkurzyło [to], że mi po miesiącu przysłali do domu, że ja spełniłem wszystkie warunki amnestii i [że] wszystko jest w porządku. Tylko spełnienie tych warunków to znaczyło, że wszystko, co mi służyło do przestępstwa, musiałem oddać, a ja żadnych maszyn nie oddawałem. Nie uważałem tego za przestępstwo. Ja te maszyny miałem dalej. Ja to tak przyjmowałem i przyjmuję do dziś jako taką bezczelną potwarz ich, no bo nic nie oddałem, a takie coś mi przysyłają. Ja się tylko przyznałem do strajków w Ursusie. A jeszcze on [Zwolak] zahaczył mnie o drukowanie. Ja powiedziałem, że drukowałem na powielaczu. Wiedziałem, że na ramkach jest to do podrobienia. On mówi: „Pan drukował?”. Ja mówię: „tak”. „A na czym?” Ja mówię: „na ramkach”. „A jak Pan to zrobił?” Popatrzyłem u niego po tym [pokoju] i mówię: „Panie, jak mi Pan dasz na piśmie, że mogę to krzesło połamać, tę firankę wziąć, to zaraz Panu zrobię ramki.”. „Nie, dobra wiem, że tak możesz zrobić.” I z tego się od razu wycofał.

### **Czyli po amnestii kontynuował Pan pracę w drukarni aż do zatrzymania w 85?**

Cały czas drukowałem. Nawet było nam wygodniej, jak się już nie ukrywałem. Więcej rzeczy przy maszynie mogłem załatwić. Bo człowiek jak się ukrywał, to było ciężko. Żeśmy spotykali się przy Pomniku Getta, takie tam było boisko piłkarskie. Żeśmy grali tam sobie w piłkę nożną, a jaką kondycję mieliśmy. Po 3-4 godziny żeśmy kopali tę piłkę i załatwiało się sprawy. Zawsze dwóch się urywało, [żeby] załatwić co potrzebowali. Nawet ubecy nas tam podglądali. Jak ktoś nowy przychodził, to zaraz policja przyjeżdżała, że mają informację, że pijemy wodę i legitymowali: nie tych starych, tylko tych nowych. Bo to wiadomo, że oni wyszli z więzienia. Przeważnie tacy tam tylko grali w tę piłkę, osoby, które dla Służby Bezpieczeństwa były znane. Ale dla tych stałych [funkcjonariuszy], co [nas] tam oglądali nowa twarz, no to brać na sprawdzenie. Tak że, no nie powiem, kondycję się wtedy miało wcale niezłą, kurde mol. Teraz żeśmy się po latach spotkali, żeśmy pograli 15 minut i nikt nie miał siły. Tak, a wtedy parę godzin. W mrozy, w deszcze, myśmy cały czas [grali]. W środy żeśmy się

spotykali o 12 i o 15 żeśmy się ubierali [i] odchodzili. Deszcz lał, to myśmy non stop grali. Mróz dwadzieścia parę stopni - myśmy grali. Nie było tak, że myśmy przerwy sobie tam robili. Cały czas graliśmy w tę piłkę. Rzeczywiście można się było świetnie zahartować, bo ani żeśmy nie marzli, ani nam deszcz nie przeszkadzał, ani nic. Tylko potem zawsze szliśmy wypić sobie kawę, jakiś koniaczek czy tam winiaczek dla rozgrzeweczki. Ale [po pierwsze] sprawy się załatwiło, a drugie kondycja. Właściwie ubywało nas, jak któryś do więzienia szedł, ale do tej pory to miło wspominamy.

### **Możemy teraz przejść do samego momentu zatrzymania.**

Zatrzymano nas w Słupnie 29 maja, w Słupnie pod Warszawą. Ja do dzisiaj zawsze mówię: najciężej było wejść do drukarni po przerwie. Wtedy taki strach był, strach wejścia do drukarni. I właściwie żeśmy weszli w kocioł. Oni czekali na nas 48 godzin i co ciekawe, ktoś musiał nas sypnąć, bo myśmy mieli jechać dwa dni wcześniej. W Towarzystwie Przyjaźni Polsko Radzieckiej mieli drukarnię. Ja tam w kawiarni „Tamarce” przy pomniku Dzierżyńskiego zakładałem związki zawodowe „Solidarność”, a więc znałem tych kelnerów, kelnerki. A przy Foksal był potężny budynek TPPR. Ja tam przez pomyłkę z tyłu wszedłem na jakieś zebranie komunistyczne i zakładałem im związki zawodowe. Pojechał wtedy ze mną prof. Kłopotowski. Ja nie załapałem, że to inne zebranie. Mnie tam zaprosili. Właśnie zamiast iść do tej kawiarni pracowników w zakładach, to ja zakładałem na tym zebraniu. Tam aula była chyba ze 300 osób, ale nie protestowali. Tylko protestowali ci za stołem prezydyjnym, tam coś mnie odsuwali, a ja: „przepraszam wszystkich za spóźnienie” i dawaj te ulotki zacząłem im rozdawać. Przejęty byłem rolą, do dziś się z tego śmieję. Taką samą miałem sytuację w 80 roku. 13 grudnia było odsłonięcie pomnika w Gdańsku i zatrzymali Bogdana Grzesiaka w Pałacu Mostowskich. Mnie poinformowali ludzie z Okęcia. Zadzwonili, że został zatrzymany Bogdan Grzesiak. Ja pamiętam z Jackiem Knapem z „Solidarności” jak żeśmy wpadli w Pałac Mostowskich. Ja nie wiedziałem, że tam przepustki są potrzebne, ja byłem robotnikiem. Żeśmy tak pewnie weszli, że nikt nas nie zatrzymał. Po piętrach żeśmy łazili, otwieraliśmy te pokoje. Wreszcie faceta zatrzymujemy: „Panie, gdzie tu żeście zatrzymali tego Bogdana Grzesiaka?”. „A Pan to kto?” „Z Solidarności, z „Regionu”, bo myśmy po niego przyszli, żeby go zabrać od was.” On mówi: „Panowie, poczekajcie!”. Gdzieś tam zadzwonił. Za chwilę pełno się ich naleciało. Zaprosili nas do pokoju. No więc godzinę z nami kłapali. Wreszcie po godzinie mówimy: „Panowie mnie interesuje pan Grzesiak? Rano żeście go zatrzymali. Jest wieczór.”. „Proszę Pana, jak Pan chce, niech Pan podejdzie do telefonu. Jest już u was w „Regionie.”. Oni go zawieźli pod „Region”. On nam powiedział. W momencie kiedy myśmy go szukali, oni szybko go wladowali w samochód i zawieźli go na Szpitalną, i on na nas tam rzeczywiście czekał. Ale to było takie [niespodziewane], że wszyscy się dziwili, jak żeśmy weszli. Ja podejrzewam, że wzięli nas za swoich, bo żeśmy pewnie wchodzili, a ja jako normalny robotnik, to nie wiedziałem, że tam przepustki są potrzebne, bo ja tam nigdy wcześniej nie siedziałem. Później już wiedziałem, jak już od nich wyszedłem, że przepustka potrzebna. Powiedzieli mi, że powinienem iść na biuro przepustek i dopiero stamtąd z przepustką wejść, [a wtedy] ktoś by po mnie zszedł. Ale wróć do tej wpadki. Myśmy chcieli, żeby nam w tym TPPR-e [dali papier na okładki] (już nie pamiętam na co była ta okładka). Myśmy mieli już [drukarnię] zlikwidować, tylko nie mogliśmy dodrukować [książki], nie mieliśmy papieru na okładki, a w TPPR-e mieli ładny karton. I powiedzieli, że dopiero na drugi dzień mogą nam dać przycięty karton, tak jak żeśmy sobie życzyli. Myśmy poszli do tej kawiarni, do tej „Tamary” i wypiliśmy, a ja jak wypiję trochę, to choruje strasznie na drugi dzień. Czy wypije mniej czy więcej, to chory jestem 2-3 dni poważnie. Aleśmy wtedy sobie wypili, bo taki luz był. Ja mówię: „Andrzej, (do Andrzeja Górskiego) po co my mamy jechać, jak my nie mamy tego papieru, no co

klamkę pocałować, posiedzieć przy maszynie, wyczyścić ją i jutro przyjechać?”. Na drugi dzień Andrzej do mnie zadzwonił, tu do domu na Sosnkowskiego [a ja] mówię: „Andrzej, ty mnie wołami dzisiaj nie wyciągniesz, bo ja się bardzo źle czuję.” Andrzej mówi: „Wiesz co, to pojedziemy jutro.” I oni dlatego 48 godzin na nas czekali tam w tym pomieszczeniu. Oni weszli [do drukarni] tego dnia, co myśmy mieli wejść na drukowanie, a więc ktoś poinformował ich. To było zwykłe sypnięcie. Jakby oni chcieli nas na gorącym złapać, to by nam dali wejść i później by weszli. Chociaż wątpię, żeby [gdyby] weszli, czy by znaleźli maszyny, jak by nas otoczyli. Jak już weszliśmy w ten kocioł, [to] podejrzanie to wyglądało, jak żeśmy podjechali pod ten domek. Obok, jakieś 30-40 metrów od domu był warsztat. Ten domek był tak przy lasku, później nic. I ten warsztat był dziwnie zamknięty. Tak żeśmy spojrzeli we trzech po sobie i tak naprawdę, według konspiracji, Tadek powinien odjechać samochodem, a iść tam powinienem ja albo Andrzej. Ale jak później po latach rozmawiam z Andrzejem, to nikt nie chciał być tym odjeżdżającym, bo to by się wiązało z następnym ukrywaniem, a powiem Panu, że mi ciężiej było się ukrywać, jak później siedzieć w więzieniu. Ja to wielu osobom mówię, bo [jak] człowiek się ukrywa, to cały czas wie, że będzie aresztowany. Kwestia jest [tylko] kiedy. Jak drukowałem, wiedziałem, że będę aresztowany, że kiedyś wpadnę, chociaż się nie wiem jak nie chce wpaść. Zdawałem sobie z tego sprawę, że będę siedział, [była] tylko kwestia kiedy. Myśmy podeszli we trzech. Było tak, że Andrzej podszedł [i] otwierał drzwi, mnie Tadek (poszedł na taksówkę, [bo] potrzebne było paliwo, [które] było na kartki, no a że my potrzebowaliśmy dużo wozić, to potrzebowaliśmy mieć taksówkę, [więc] po to poszedł [na taksówkarza]) otworzył bagażnik z tyłu. Otworzył z tyłu ten bagażnik, ja jeszcze ten worek z kartonem wziąłem w ręce i wyleciał do mnie [ubek] z pistoletem [i] krzyczy: „ręce do góry!”, a ja trzymam ten worek. Wyciskam go z tym kartonem do góry, ciężki jak cholera. Kątem oka patrzę w ten lasek, bo różne myśli człowiekowi po tym łbie chodzą. Patrzę na jego łapy, a jemu się trzęsą te ręce ze strachu z tym pistoletem. Ja mówię: „Strzeli skurczybyk jak nic!”, ze strachu, bo to ludzie różnie reagują. Tak człowiek szybko myśli. Więc ja mówię do niego: „To wie Pan co? Ten worek już wycisnąłem, czy mogę go zrzucić?”. A on mówi: „No to rzuć.”. Pieprznałem w ten bagażnik, ten samochód się tylko zabujał zdrowo. No i tam wciągnęli nas. I tak jak mówiłem, ja choruję przez trzy dni [po alkoholu]. Wygląd miałem nie najlepszy. Siedzę w tym [samochodzie] i taki „Piękny Zdzich” ([tak] go przezywali, on później był pułkownikiem), on do mnie mówi: „No co Panie Emilu, (gębę z widzenia pamiętałem już za „Solidarności”) długo się nie zobaczymy i dłuugo się nie napijemy.”. „Ja z Panem to nigdy, ale czy długo to – mówię - nie wiem, „No - mówi - w takim miejscu żeśmy was złapali.” Ja mówię: „Panie, to jest wasza prowokacja, ja tu przyjechałem po masło, mam w torbie masło.”. „A koledzy?” „Niech mówią za siebie.” Mówię: „Ten przyjechał ze mną, bo ja tutaj w Słupnie lubię kupować masło. Bo masło jest na kartki, [więc] tu kupiłem.”. „Ma Pan paragon?” „Nie, bo wyrzuciłem.” Taka dyskusja była już tam. Andrzej złapał te swoje portfele, bo on jak zwykle miał zawsze pecha: przed moim ujawnieniem też żeśmy wpadkę mieli i on wpadł. Ja zdążyłem uciec. Też ciekawa była sytuacja. Ale opowiem tę wpadkę. Mnie jako ostatniego wieźli. Zabrali [wpierw] nie wiem Tadka Markiewicza albo „Grubego”, nie wiem którego pierwszego. „Gruby” zjadł 5 dolarów. Zaraz zdjęcia robili i niedobrze mu się zrobiło, poszedł zwymiotować to na niebiesko, czy na zielono, bo to zafarbowało. „Gruby” mówi: „Ale kurde wodę spuściłem, nic nie widzieli. Pomemtałem to pomemtałem i łyknałem.”. On zawsze zjadał te swoje notesy. Nie miał w nich nic, ale na wszelki wypadek zawsze zjadał. Jechaliśmy przez most Śląsko-Dąbrowski. I tak siedzę, tak się patrzę na te okno: „No [a] jak bym tak bryknął przez te drzwi? To bym bryknął.” Ten samochód przystawał co chwila, tam coś robili. A ten skurczybyk, co obok mnie siedział, (bo nie powinien mnie sadzać przy drzwiach tylko w środku powinien mnie posadzić) wyczuł coś. Wziął

mi te kajdanki zaciągnął, zazębił mocno, bo one zęby miały i usiadł mi na tych rękach. „Skurwysyn – mówię - już nie wyskoczę przez szybę.” Może bym i nie uciekł, ale bym krzyczał, żeby do „Marcina” dali znać, że drukarnia w Słupnie [wpadła], bo na drugi dzień mieli odebrać od nas książki. Mieliśmy umówionych ludzi, ale się rozniosło w okolicy i nikt nie przyjechał. Jesteśmy w Pałacu Mostowskich, mnie [ręce] już bołą, bo zanim mnie przyjęli [, to minęło dużo czasu]. Mówię do niego: „Może mi Pan poluzujesz te kajdanki?”. On mówi: „nie”. „To chuj ci w dupę.” I już nie prosiłem, ale tak powiedziałem. Już nie prosiłem, bo się ambicją ująłem. Te ręce mi zaczęły puchnąć. A więc każdy krok, to mnie ból sprawiał. Niech Pan sobie kiedyś zaciśnie tak długo, niech krew nie dochodzi, to każde ruszenie kończynką boli. Jak oni mnie na górę wprowadzili, to mnie do Górskiego i Markiewicza tyłem posadzili, bo oni myśleli, że ja jestem tak pioruńsko wystraszony. Ja jeszcze mówię: „Tadek, ty się nie martw, ja ich mam w dupie.” i do Andrzeja. Zresztą wyszedłem najlepiej z nich, nawet się od sankcji nie odwoływałem. Chciałem sobie zapalić, a więc wyciągam powoli zapalniczkę, a tu ból, a ja wtedy paliłem bardzo dużo. Wyjąłem papierosa, a tej zapalniczki już nie utrzymałem w tych rękach. Ona mi wypadła. I w tym momencie, jak ona mi wypadła przechodził ubek. Podeszedł, spojrzał na ręce: „Panie, jak Pan tak możesz?”. Zawołał kogoś i mi tak po ząbku, nie od razu, zaczęli puszczać. Ja mówię: „Panie, to wasz człowiek-szafa”. Później jak mnie sprowadzali na dół (bo ich pozabierali) była próba przesłuchania. Bzdury gadali, pytali. Nic nie odpowiadałem. Wreszcie poprosiłem: „Pan da mi to, co Pan mnie przesłuchuje, ja tu napiszę albo Pan niech pisze, że Pan mnie nie ostrzegł, że mam prawo odmówić składania jakichkolwiek wyjaśnień. Pan pisze to”. On wziął to podarł i wyrzucił mnie do celi. Do tej celi sprowadzał mnie właśnie ten człowiek-szafa i mówi: „No i zobaczysz, jak cię kryminalni załatwią.” I mnie pchnął. Zleciałem z tych trzech schodków i tak stanąłem na dole, i mówię: „ty bydlaku!” i do niego, a on w górę do tyłu. Mówię: „Jeszcze raz mnie spróbuj pchnąć, to ci napluję w pysk i kopnę cię w jaja, choć mam kajdanki na łapach.”. Ale przedtem zawieźli mnie jeszcze na rewizję do domu na Sosnkowskiego. Ich było czterech, ja byłem piąty w tym samochodzie, tam ścieśnieni. Rozkuli mnie w mieszkaniu, obstawili okno we dwóch. Mama spytała, czy może dać mi obiad. A jeszcze przedtem mama do nich mówi: „wynocha stąd!”, bo nakaz rewizji był na mnie, a ja mam inne nazwisko jak mama. Mama wyszła drugi raz za męża, a więc miała inne nazwisko. „Mamo, zostaw ich, za 15 minut przywiozą, po co Mamie tę awanturę robić i tę farsę z powrotem [zaczynać]?” Matka mówi: „Jak ty tak mówisz, to niech wchodzi.”. I to był właściwie mój dobry wybieg. Ja już wtedy byłem żonaty. Moja żona pod łóżkiem dziecinnym miała bibliotekę studencką nie ostrzegając mnie. Oni to wyjęli. A ja mówię: „Panie, nie widzisz Pan stempli? Nie widzisz Pan stempli, czyje to jest? Nie widzisz Pan dat? Weź Pan sobie to, co tam w drukarni było, poszukaj jakichś wcześniejszych, bo ja skupuję na wolumenie. Z drukarni sobie Pan wzięłeś, a na wolumenie, na tych targach, wszystkie książki kupuję. Wszystko można dostać i dobrze wiecie, bo wy sprzedajecie.” Rzeczywiście zaczął grzebać w tych książkach. Co poniektóre z ostatnich 4-5 lat sobie powybiali, [z tych] co ich ciekawiły i ze stanu wojennego zaczęli [wybierać]. Ale ja miałem po jednym [egzemplarzu i] wcale się tym nie przejmowałem, że zabierają, bo wszędzie można kupić. Można było na „czarnym rynku” dostać, bo sprzedawali. No i zostawili mi kupę tych książek. Wzięli parę, parę sobie, które im się podobały i parę mi wpisali w protokół. Pozostawiali mi masę [książek]. Masę rzeczy nie zabrali. To był ten jeden wybieg, że ja powiedziałem wchodzimy. Jeszcze do matki mówię: „Zrób kawę!”. Musiałem rozładować to napięcie, bo jak jechaliśmy z Pałacu Mostowskich, to oni tak nabuzowani byli, że nie wiem. A potem, jak mieliśmy wychodzić, dostałem od nich pytanie: czy będę uciekał. Miałem zdjęte kajdanki, bo oni mi po tym ząbku [popuszczali], a w domu mi zdjęli, żebym obiad mógł zjeść. Ja mówię: „tak”. Nie założyli mi kajdanek, ale tak mnie obstawili, że nie

mogłem [uciec]. Nie miałem jak, a deszcz padał, nikogo na podwórku nie było, ale za to ludzie mnie widzieli, bo tam nikt samochodem nie wjeżdża, a tu raptownie samochód z piskiem opon wjeżdża na podwórko. Ludzie w okna powchodzili. Jak już w okna powchodzili, to już wszyscy siedzieli, aż mnie wyprowadzą. W celi od razu poznałem kilka osób kryminalnych, z którymi się wcześniej otarłem na tych komendach. [Oni] zresztą po imieniu do mnie. Mieli mnie bić w tej celi, a [oni] mnie od razu do stołu zaciągnęli. Pogadaliśmy trochę. Pytali się, co tam w polityce, no to im wszystko powiedziałem. No i co? Po pięciu dniach przewieźli mnie na Rakowiecką. Popelnili błąd, bo zawieźli mnie najpierw na Służewiec, bo nie chcieli nas trzech na raz. Jak mnie z tego Służewca przewieźli, no to wlałem na poczekalni na Andrzeja Górskiego i dwie godziny, przed wejściem do aresztu, żeśmy we dwóch na tej poczekalni rozmawiali.

### **Czyli sobie ustaliliście zeznania?**

Nie, nie ustalaliśmy. Nic żeśmy na temat tego nie mówili. Była jedna zasada: nie nasze ręce. Tak jak [we] trzech żeśmy siedzieli, [tak] we trzech nikt się do niczego nie przyznał. Tu mam akt oskarżenia. Wszędzie w tych pismach się żalili, że odmawiamy składania wyjaśnień, bośmy odmawiali. Odmówiłem nawet napisania, żeby mi tę sankcję cofnęli. To mi zrobili specjalne przesłuchanie, dlaczego ja nie pisałem odwołania od sankcji. No to im odpisałem: „Bo was nie uważam. Jak żeście mnie zatrzymali, to mnie kiedyś wypuścicie.”. To był dla mnie mój argument, bo ich to zabolalo, że ja się nie odwołuje, bo po co, jak nie mam do kogo? A później pamiętam, to przesłuchiwał mnie non stop na Rakowieckiej kapitan Celeski. [Wpierw] próbował jakiś inny. Zaczął mi gadać o Pruszkowie, że „Pan z Pruszkowa”. Walnąłem mu nazwę ulicy, której w Pruszkowie nie było i on mówi: „Tak, tak, znam ją.” Ja mówię: „Panie, co Pan pieprzysz, Pan nigdy w Pruszkowie nie był.”. Dostałem później kapitana Celeskiego. I ja w ogóle nie mam do niego żadnych pretensji. Po prostu nie męczył mnie, ja jego nie męczyłem. Ja go nie wyzywałem, bo nie potrzebowałem. On kiedyś tylko raz mi powiedział: „Ja wiem co ty o mnie myślisz.”. Ja mówię: „Jak Pana wie, to po co Pan mnie pyta? Pan mnie nie pyta, co ja o Panu myślę, jak Pan wie, co ja myślę, nie?”. Tak że później kpt. Celeski, jak mu podpisałem akt oskarżenia i jak wychodziłem za drzwi, to on mi podziękował. To mnie tak zaskoczyło, za co mi dziękuje, cholera, no bo takie dziwnie [to] podejrzane. Ja stanąłem w tych drzwiach [i mówię]: „za co?” A on mówi: „Ano ja ci coś powiem: dobrze, żeś nic nie mówił, może byś dostał te kilka miesięcy mniej, ale tak, to ty kolegom w oczy będziesz mógł spojrzeć.”. I powiedział do mnie, że na rozprawie będzie. Był. Przyjeżdżał.

### **Jaki czas po zatrzymaniu odbył proces?**

Prawie po roku. Tak że równy rok i pięć dni siedziałem; pięć dni siedziałem na Pałacu Mostowskich i równy rok na Rakowieckiej. I w ogóle dość dziwnie to wszystko dla mnie wyglądało. Ja tam się ani nie przyznałem do niczego, ani oni mi nic [nie udowodnili]. Znaleźli dwa odciski palców. Teraz to już mogę mówić: w drukarni, w której byliśmy 7 miesięcy, znaleźli dwa odciski palców. Dwa odciski palców! Też im powiedziałem, że podłożyli. Tak szukali. Dla mnie to było trochę takie śmieszne. Mieliśmy offsety, a włożyli nam do rozprawy powielacze, książki, które były zrobione na powielaczu. A więc myśmy się przyszykowali, bo nie wiedzieliśmy, że ta amnestia wyskoczy, przyszykowaliśmy się, że odwołamy się od tego procesu i udowodnimy, że nie mamy z tym nic wspólnego, bo ci panowie nie wiedzą, co mówią. No bo jak się powielacz do offsetów przyrównuje. Ekspertyza była taka, że te książki mogły być u nas robione na tych maszynach [lub] mogły nie u nas być robione. Tak że to też dość ciekawie wyszo. No i co? Wyrzucili mnie z więzienia. Jeszcze wyniosłem książkę Marianowi Terleckiemu. Siedziałem długo z Mariankiem Terleckim, dobrze mi się z nim siedziało,

we dwóch żeśmy siedzieli. [Dziś] jest szefem Radio-Komitetu, taki drobny chłopak, ja go bardzo lubiłem. On miał wyrok do 25 lat. Pallotyni mogli go jednym pociągnięciem, jednym zeznaniem wyciągnąć z więzienia. On dla nich zwoził sprzęt nagrywający z Zachodu. No i oni [go] wzięli. [Potem oskarżyli ich], że to jest [sprzęt] ukradziony przez „Solidarność”, a oni się bronili przed tym, tak że [to] było trochę nie fair. Jeszcze chcieli mi zrobić kierowniczą rolę w naszej grupie. [Wtedy] spytałem Celeskiego: „Panie, ja na głupiego nie wyglądam, dlaczego każecie mi się przyznać do czegoś, czego nie robiłem. Żadnym szefem nie byłem.”. Ja dostałem rok i 4 miesiące. 15 tysięcy książek nam przybijali w tej drukarni. Czy ich tyle było? Trudno mi powiedzieć, chyba nie, bo myśmy robili nakłady góra 10-12 tysięcy. Tylko że wydruki mogły być jeszcze inne, już tak zbyt nie pamiętam. Żeśmy dostali małe wyroki. Patrzyłem na tych ludzi, którzy mieli po kilkanaście książek i dostawali nie wiem dlaczego po 2-3 lata, kurde mol. To mnie Pan Słomka z KPN-u powiedział, że „Nowa” to jest firma, wiedzą gdzie, jak zapłacić i małe wyroki dostają. Odpowiedziałem: „My po prostu zamykamy gęby na kłódkę i nic nie mówimy, to jest cała nasza filozofia.”. Niektórzy nie wypierali się tego, co robili, ale mi się raczej zdaje, że to był ich wielki błąd. Cofnę się do momentu przed ujawnieniem, to był początek października. Myśmy mieli przygotowane te ujawnienia: ja, Andrzej Górski, Witek Łuczywo i jeszcze taki Marek, zapomniałem jego nazwiska Ten Marek ukrywał się, wynajmował mieszkanie z żoną. On też się ujawnił. Jednego dnia mieliśmy się ujawnić. Myśmy mieli na Saskiej Kępie [nowy] lokal. Mieliśmy tam beczkę kleju do książek i ktoś dał nam klucz od tej piwnicy. Tam trzymaliśmy tę beczkę. To był bardzo pechowy październik. [Dotąd] żeśmy drukowali książki na trasie na Radość. Byliśmy u faceta i to wyglądało tak: wchodziliśmy do niego wieczorem w niedzielę, to od nas się kot wyprowadzał, a jak w piątek wieczorem wychodziliśmy, to kot się wprowadzał, bo on nie lubiał hałasu. I myśmy tam, z tego domku nie wychodzili. Żarcie na cały tydzień się brało. W nocy wychodziłem tylko psa karmić [tym, co] nam zostało. Szkoda nam było [wyrzucać], zresztą nie mieliśmy mięsa. Pamiętam raz żeśmy dostali taką trzy kilową puchę gulaszu od księdza Popiełuszki. Po cichu żeśmy przeszli przez płot. To wtedy mieliśmy wyżerkę, bo tak to braliśmy kluchy, jakieś tam jaja i to wszystko, całe nasze tygodniowe jedzenie. Stąd zawsze przed drukowaniem chodzili żeśmy dobrze się najeść do knajpy. I po wyjściu z drukarni zawsze lecieliśmy do knajpy.

### **To jaki okres czasu spędzało się w drukarni?**

Od niedzieli do piątku do wieczora albo do soboty do rana. I to było [tak], że się drukowało 24 godziny na dobę. Ja z Andrzejem się tylko zmieniałem: jeden spał, drugi drukował. Tak żeśmy tony papieru przerabiali. W samym Słupnie żeśmy przez 7 miesięcy zrobili 16 książek i inne pierdoły: ulotki m.in. Tak że to było bardzo dużo i spore nakłady żeśmy robili, grube książki. Koledzy teraz wydali [książkę o tym], co „Nowa” wydała. Wziąłem sobie koniec czwartego i piątego [1984 i 1985], do maja, właściwie pół roku. W 6 miesięcy 16 książek.

### **W takim razie wyrok zapadł w 86?**

Tak. Ja dostałem rok i cztery miesiące, 16 miesięcy, oni tam w miesiącach podawali. Z rozprawy mogłem już wyjść, tylko pani prokurator Mierzejewska zablokowała to, zadzwoniła do pani Bardonowej, i odrzuciła to, że mogę wyjść. 2 tygodnie później naczelnik więzienia uznał, że mogę wyjść i mnie wyrzucano. Taką niespodziankę mi zrobiono.

**Jakie były skutki represji po wyjściu? Rozumiem, że w więzieniu Pana nie bili, nic z tych rzeczy nie było?**



Pobili kiedyś Baraniewskiego Romana. On z „Kręgu” siedział. Dostał pięścią w twarz. Mnie raczej nie, nie przypominam sobie, żeby mnie bili. Nie bili mnie też na przesłuchaniach. Nie mam w ogóle pretensji do tych klawiszów. Zaskoczyłem ich, jak przyszedłem. Przyjąłem taką zasadę: jak jestem polityczny, to mam być grzeczny. Wiadomo, co ja myślę o tych klawiszach, ale to jest jego robota i mam to olewać. Jak wychodziłem na spacer powiedziałem dzień dobry [klawiszowi]. On wpadł i „który to?”. Ja mówię: „co?”. „Który powiedział dzień dobry?” „Ja”. Popatrzył się. Ale konsekwencją tego było [to], że nie musiałem pisać kartki o igłę, jak chciałem rano, nie musiałem [prosić] o nożyczki, czy dodatkową ciepłą wodę. Mówiłem im dzień dobry. Nie rozmawiałem, mówiłem dzień dobry i do widzenia. I zawsze, jak potrzebowałem czegoś, to puknąłem w drzwi czy na dzwonek zadzwoniłem, oni zawsze przyszli, poprosiłem i dostałem. Głupie słowo dzień dobry, a ułatwiłem tym sobie życie. Co niektórzy zwracali mi uwagę, ale za to ja tylko zwróciłem uwagę, że „jak ty przy kotle siedzisz i z nim rozmawiasz, to jest w porządku? To ja uważam, że jest lepiej jak ja mówię dzień dobry i do widzenia.”. Przyszła pani Mierzejewskiej żebym przeczytał akta [i] podpisał takie oświadczenie. Przyszła z takim wielkim człowiekiem-szafą, a że ja wiedziałem, że idę [do niej], że mnie pani prokurator na górę wzywa, wziąłem sobie jabłko. Żeby tej babie nie naubliżać czasami, to ugryzę chociaż ze złości to jabłko. Wszedłem, ona za takim biurkiem, [za którym] mnie zawsze przesłuchiwali, za nią siedzi facet. (Celeski to mnie rozśmieszył [tym, że] on był taki mały, a te biurko takie wielkie i ja sobie przypomniałem czasy stalinowskie. Dlatego zawsze się śmiałem jak do niego wchodziłem. On się złościł, że ja zadowolony jestem.) I ona za tym biurkiem usiadła, taka kobita nieduża i za nią siedzi ten człowiek-szafa, taki byk. Ja to przy nim takie chucherko byłem. I do niej mówię: „Przepraszam Panią bardzo, a ten Pan to kto?” - tak paluchem pokazuję. „Ten Pan to jest mój ochroniarz.” Tak się na nią patrzę: „Pani kochana, co Pani taka atrakcyjna jest, że ja się na Panią rzucę? Niech Pani się zastanowi trochę!”. Jak ten ochroniarz zaczął ryczeć ze śmiechu! On głowę tak zatykał, bo też nie wytrzymał. A ona się zrobiła czerwona jak burak. Nie atakowałem [jej], tylko jej powiedziałem. Ja później zadowolony [byłem i] tego jabłka nie ugryzłem ani razu. „Żeby Pani nie oglądać Pani da, ja Pani podpiszę jak najszybciej, bo chcę stąd wyjść.” Tak że ona się wściekła, bo to jest dla takiej kobity obraza. Jak moja żona napisała, że rzeźuchy chce nam podostać [do więzienia], to ona odpisała, że „o książkach decyduje Pan Naczelnik więzienia.” Jej inteligencja straszna była. Ona wtedy mieszkała w Ursusie przy stacji, (nie wiem czy teraz mieszka) w takim domku jednorodzinny. Kiedyś ją widziałem na ulicy. Vis a vis żeśmy szli. Zobaczyła mnie, łeb spuściła, przeszła na drugą stronę. Ona łeb spuściła, a ja podniosłem. Mnie to już wystarczyło. Jeszcze Okrągłego Stołu nie było. Dla mnie to już było wszystko. Ja przyszedłem dumny, ona ze spuszczonego łbem, a więc oni sobie zdawali sprawę [z tego], co robią.

A wrócę teraz do tego października. Na początku października Wałęsa dostał Nagrodę Nobla i [jednocześnie] na trasie na Radość był jakiś Dzień Strażaka. Myśmy zawsze w piątki pakowali sprzęt i wynosili do takiej pakamery, ale wtedy żeśmy jeszcze nie wynieśli, tylko był spakowany. Pan właściciel, bo [jego] żona przyjeżdżała do niego w sobotę z Warszawy na weekend, mówi: „jak tam chłopaki?”. Ja mówię: „Słuchaj, książki [są] do zabrania.” (m.in. Herling-Grudziński, on taki pechowiec był, zawsze nam wpadał, chociaż połowa [nakładu] wpadła, te „Dzienniki pisane nocą”). Stoją gotowe wydruki przy furtce w takich papierowych worach po papierze toaletowym. One były ciężkie. Tam wkładaliśmy 16 ryz. Po 16 ryz przy wydruku i wilgotne, to jeden worek ważył 50 kg. Poustawialiśmy sobie [te worki] przy furtce, miał po nas przyjechać Tadek Markiewicz i „Eldorado”. W dwa samochody mieliśmy rozdzielić te książki: oni do składaczy mieli zawieść, a mieli nas po drodze wyrzucić i mieliśmy z Andrzejem iść na dobry obiad, bo żeśmy zawsze to robili. Zawsze głodni byliśmy, jakiegoś mięsa nam się chciało. No i

wpada ten Józek [właściciel], litra na stół. Ja się popatrzyłem: „Pijcie sobie sami!”. Czułem się jeszcze nieswojo, bo podziębiony byłem, ale tego kieliszeczka trzeba sobie było rąbnąć, bo Wałęsa Nagrodę Nobla dostał. Ten Józek pomagał nam śmieci w takiej „kozie” palić. „Kozą” była w tym mieszkaniu, wchodziła tak fajnie w ścianę. No i tak jeszcze mu powiedziałem: „My możemy z tobą usiąść przy stole, ale jak spalimy te śmieci, bo jak twoja żona ma nic tu nie widzieć...”. Żeśmy od rana siedzieli i Andrzej palił. I wiał taki straszny wiatr, taki nieprzyjemny, bo to początek października, [więc] wtedy było nieprzyjemnie. Pies zaczął szczekać. Oni sobie popijali, ja wyszedłem do kuchni, bo tam co chwila [wyglądałem] przez okno, czy nie podjechali. Pies zaczął skakać przy budzie. Otworzyłem drzwi, patrzę, nikogo nie widzę. Cofnąłem się do [mieszkania i mówię do] tego właściciela: „Ty, Józek idź ty zobacz, bo ja nie chcę chodzić koło domku! Pies skacze, szaleje!”. A on wpada za chwilę: „Słuchajcie, cały dach się pali.”. Struchleliśmy, wyskoczyliśmy przed ten domek, patrzymy, rzeczywiście płomienie 3-4 metry w górę wałą. Okazało się, że w tej ścianie działowej były trociny. On tam miał przeciągniętą „kozę” i jak wiatr wiał, ([a] to było przerdzewiałe), [to] wdmuchiwał te trociny. One się zapaliły, więc poszło w dach. On [właściciel] zrobił sobie taką mocną kratę, tam gdzie się ta ściana paliła. Ja mówię: „Dawaj siekierę, to rozwalimy!”. On nie dawał tego domku rozwalić, bo może byśmy to zrobili. I wyglądało to tak: najpierw próbowaliśmy ugasić. Ja pompowałem wodę. Przed pompowaniem wody to [jeszcze] poleciliśmy posprzątać wszystko spod furtki. [Wszystko] mieliśmy popakowane: wałki, maszyna w papierze. Nic nie było na wierzchu, [wszystko] stało tylko do wyniesienia. No i tę wodę pompowałem, urwała nam się pompa. Zerwało się to wszystko w cholerę. On [właściciel] miał taki stawik z rybkami. Rybki żeśmy mu wywalili do smażenia. Ja mówię: „Andrzej, stawaj na tej drabince!”. Żeby dał nam siekierą to rozwalić, [to] byśmy ugasiłi i by było w porządku. „Stawaj na tej drabince, ja ci będę wodę z tego stawiku podawał.” Wpieprzyłem się w ten stawik potąd. Kurwa, zimna ta woda jak skurczysyn. Nie wiedziałem, że to takie strome i głębokie. Dobrze, że człowiek pływać jeszcze umie, bo by się tam utopił. Może dobrze, że nie piłem, bo bym może nie wylazł. Ale za to ten kieliszek odwagi dawał. W pewnym momencie mówię: „Nie ugasimy tego, no nie ugasimy! Zostawiamy!”. Ktoś tam zadzwonił po straż i powiedział, że straż zaraz przyjedzie. Jak już wiedziałem, że [przyjedzie] straż, (to tak szybko człowiek myśli) to i policja. Podleciałem do tej furtki, złapałem te trzy wory. Jeden sobie położyłem tu, dwa pod pachę: to jest 150 kilo. Ja nie wiem jak to podniosłem, nigdy tyle nie podnosiłem, bo mnie jeden męczył. To ze strachu człowiek potrafi góry przenosić. Spodnie, dżinsy mi pękły, stąd do samego dołu, bo mięśnie [były] napięte. Nie wiem albo te mięśnie takie mi się wielkie zrobiły. Biegiem wleciałem, wrzuciłem to i [wracałem] po te farby. Patrzę jakiś w mundurze morowym, kurde. Ja wziąłem puszki z farbą i pościel, a on niesie układ farbowy od maszyny. On mówi: „Co to jest?”. Ja mówię, że tu „Józek kryształ miał przewieźć do Warszawy.” „U, to dobrze żeście spakowali.” I tak idę przed nim, patrzę ta farba się rozlała, bośmy wszystko rzucali. Ten domek był drewniany. [Właściciel] miał zrobiony taki spory murowany [schówek]. Bardzo ładny, porządny, dach porządny. [Tam] trzymał różne rzeczy. Więc jak zobaczyłem, że ta farba się wylewa, to tę pościel w tę [pościel] mu farbę wsadziłem, żeby ten nie widział. No i przyjechała straż, jak żeśmy powynosili wszystko. Reakcja wszystkich była niesamowita. Furtka otwarta na oścież. Przyjechali oczywiście nasi koledzy. Nie wiedzieli, co się dzieje. Dopiero później [jak] się zorientowali, że się pali, to oświetlili ten domek reflektorami. No i straż jak przyjechała to tak: nawaleni byli równo, drabinki, jak w tych kawałach, ten żywoptot był równo z płotem, przez ten żywoptot przejść nie mogli. „Gruby” wziął drabinę, zabrał z tego płotu, bo jeden tam wpadł w ten żywoptot, pokaleczył się, drugi ledwo na nogach stał, przez furtkę przechodził, wąż nam podali, „Gruby” wlaź na drabinę, a ja mówię: „Ty, „Gruby”, to drugi chyba musi

trzymać!”. No bo w tych filmach jeden trzyma, a drugi tą sikawką leje . To „Gruby” mówi: „To jak ja tu trzymam z przodu, to ty trzymaj dalej, bo zrzuci mnie z dachu!” Kurde ten dach się pod „Grubym” zarywał, poparzył sobie [nogi], bo te skarpetki były „tekstylniaki”, takie sztuczne to wszystko, powtapiało mu się to w nogi. Ale woda poszła. Ugasiliśmy to. I w pewnym momencie przyjechała policja, a właściciel mówi: „Spierdalajcie!”, takim tekstem do nas: „Spierdalajcie! Ja już se dam radę.”. Wszystko pochowane, nic nie ma w domu. A ja jeszcze tak, żeby sprawdzić wpadłem [do domu], bo przecież w tym piecu było palone. Dym się unosi, w tym piecu szperam, czy nie ma jakiejś całej kartki, ale nie było żadnej, nie namacałem. Może i była, ale [jak] straż tam zaglądała, to wszystko było okej, bo wszystko wpadło niżej i się wypaliło. A strażak stoi przy szafie i trzepie po kieszeniach. W szafie trzepie po kieszeniach! Ja tylko mu krzyknąłem: „Panie, tam nic nie ma, wszystko wyniesione.”. Oczywiście tam wisiała moja kurtka, której już nie wzięłem. Doszedłem do swoich kolegów. Podwieźli mnie do swojego znajomego. Śmierdzieliśmy z Andrzejem dymem. Ja dygotałem z zimna, bo cały mokry [byłem]. Spodnie mi dali takie jak kiedyś, takie dzwony były modne z serduszkami, takie nakrapiane. Kasę mam, bo mnie zawsze podwozili dalej i ja sobie szedłem na taksówkę. Wtedy miałem mieszkanie w Piastowie, wynajmowałem sobie pokój z kuchnią. I szkoda, że mnie moi koledzy nie podwieźli. Jak ja śmierdziałem! Mogli mnie podwieźć, bo przecież wiedzieli gdzie, że w Piastowie. Pod chałupę by mnie nie podwiózł, bo konspirowałem przed wszystkimi. To było moje miejsce i koniec. [Więc] podchodzę na ten przystanek taxi, on tak się spojrzał na mnie przez szybę na ten mój ubiór do samego dołu. Pyta się czy mam pieniądze. „Panie, najpierw mi Pan zapłać, to ja Pana zabiorę!” Zapłaciłem mu. Mówię mu: „Ma Pan tu nawet na powrót.”. No bo musiałem stamtąd jechać. Mówi: „Coś Pan tak dymem śmierdzi?”. Ja mówię: „Widzisz Pan jak tam jeżdżą, tam się chałupa pali, a że stałem, to przesiąknę tym dymem, bo się przeciągałem.” A straż jeździły w tamtą stronę. No i tak wyszedłem. Jeszcze muszę powiedzieć, że nad ranem znowu się ta chałupa zapaliła, ona wcale nie ugaszona została, nie została dogaszona. Po tym spaleniu żeśmy musieli wyciągnąć to wszystko, łącznie z „Tygodnikiem Mazowsze”. Mieliśmy ten lokal w budynku, w którym, tak jak mówiłem, [był] ten klej. Tam wpadł Andrzej, zaraz po tym spaleniu. Tam w tym bloku ubecy mieszkali i na klatkę wrzucali im te śmierdziuchy. I oni zaczęli klatkę pilnować. Andrzej przepakowywał książkę. W szmaciankach mieliśmy dużo tych książek, ale chciał przełożyć z tej szmacianki do torby papierowej. A ja jeszcze do niego powiedziałem: „Chodź, nie ma czasu, musimy to odwieźć. Zaraz przyjedzie Tadek Markiewicz z ‘Tygodnikiem!’”. Andrzej mówi: „Ja przełożę.”. To ja stanąłem koło „Eldorado”, on też jeździł taksówką. Stoję przy tym oknie, palę sobie papierocha. W pewnym momencie patrzę: „Gruby” ręce na ścianę, rozkraczone nogi i go tam wiskają. Ja mówię: „’Eldorado’, zatrzymali ‘Grubego!’”. A „Eldorado” mówi: „Ty, to wal ich w łeb i dawaj. Ja już zapuszczam silnik, wskoczycie szybko do samochodu, odjeżdżamy!”. Ja mówię: „Jeden spisał już twoje numery, to ja musiałbym ich zabić.”- do tego „Eldorado”. Ale reakcja moja [była] taka, że nie mogę się oderwać, odejść, uciec. Wrośłem. Dopiero „Eldorado” mówi: „Spierdalaj stąd pijaku!”. Ja wtedy załapałem. No tak chwiejnym krokiem poszedłem dookoła i biegusiem z drugiej strony i w ostatniej chwili złapałem Tadeka Markiewicza. W ostatniej chwili [ostrzegłem go], żeby tam nie podjeżdżał. I tam właśnie Andrzej mówi: „Słuchaj, wpięprzyłem cały notes, wyrzuciłem okładki, to ludzie poszli poszukać. Ubekom okładki przynieśli.”. Z tego budynku ludzie poszli poszukać, że on tam notes wyrzucił. A piwnica była takiej babci, która nawet nie wiedziała, że piwnicę ma. Ktoś nam dał tę piwnicę. Andrzej zaczął się tłumaczyć. Wyszedł po 48 godzinach. „Eldorado” powiedział, że miał kurs na Pałac Mostowskich. O mnie powiedział, że pijak się jakiś przyczepił, bo zaczęli mnie szukać, że tu jakiś stał. Mówi: „Pogoniłem tego pijaka.”. A Andrzej powiedział, że przeczytał w gazecie, no bo tam było

[napisane], że trzeba dać narzędzia przestępstwa. To był ten wybieg, żeby się ujawnić, że jak wpadamy z towarem, no to jedziemy na Pałac Mostowskich, w którym miejscu byśmy nie byli. Jak się go pytali, skąd zna adres piwnicy, to powiedział, że się zgłosił i od jakieś dziewczyny dostał [polecenie], że on ma to wszystko zabrać i zgłosić się na Pałac Mostowskich, żeby miał co oddać. No i kropka, oni byli bez wyjścia. Niech mu udowodnią, że nie mówi prawdy. Pamiętam trzy dni czy cztery dni później, jestem w pewnym miejscu, czytają to, i mówią: „Jak taki palant mógł to wziąć i oddać?“, ale się nic nie mogłem odezwać, a tak tylko słucham. Mówię: „Słuchajcie, jak piszą, że trzeba coś oddawać, to może człowiek coś oddał.”. No przecież nie powiem, że ja z nim byłem i on wpadł, nie? Było tych przygód od pioruna. Na Saskiej Kępie znowuż dwa tygodnie siedzieli w chałupie, nie znaleźli wejścia. Jak by wzięli rysunek chałupy, to by tam dotarli, że tam gdzieś kawałek rogu brakuje. Oni tego nie robili, oni też jakby olewali. Wejść do Milanówka, a nie wejść do ojca na wsi obok, to była fuszerka. Tam to mi zabrali, o rany, też Herlinga-Grudzińskiego wydrukowanego, „Dziennik pisany nocą.” Przecież on tego narobił, nikt nie chciał tego robić. Poszła fama, że ja powiedziałem, że jest pechowy, no bo rzeczywiście [był]. To on proponował chłopakom, że on za wydrukowanie książki 5 tysięcy dolarów daje. Ale drukowaliśmy bez tych 5 tysięcy, bo nam nie chodziło o to. Ale od niego wyszło to, że za wydrukowanie, jak ktoś się podejmie, płaci 5 tysięcy dolarów. Ale ten jego nakład zawsze chociaż trochę, ale wpadł. „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego też w „Nowej” wpadł. „Dziennik pisany nocą” pierwszy wpadł w Ursusie, później był dodruk. Później wpadł nam jak właśnie spaliliśmy tę chałupę. Przewieźliśmy do tej piwnicy. Mam nawet płytę, bo kiedyś w radiu to puścili. Jest taka dziewczyna, [Justyna] Błażejewska, studentka historii. Chłopaki ją puścili do IPN-u. Ona tam to zbiera.

### **Chciałbym wrócić, jeśli można, do tego momentu po wyjściu z więzienia: co Pan potem robił, czy kontynuował Pan działalność opozycyjną?**

Dalej drukowałem. Cały czas dla „Nowej” i jak trzeba było to śmy robili dla „Regionu”. Na początku robiłem samą TM-kę [Tygodnik Mazowsze], Andrzej też. Później robiliśmy w międzyczasie książki. Później do TM-ki dołączyli inni. W Milanówku jeszcze robiłem 50. numer, bo w takim wianuszkach. Myśmy chyba gdzieś do 65. numeru tłukli z Andrzejem ten „Tygodnik”, a później zaczynali inni. Później pamiętam i siedemdziesiąty któryś wpadł, bo Wittek Łuczywo [powiedział]: „Chłopaki, trzeba zrobić!”. Ulotki na wybory myśmy robili. Właściwie ulotki to nawet sami chcieliśmy, dlatego że zostawał nam papier, który się nie nadawał na książki. Tośmy nawet do Witka [mówili]: „Dawaj jakąś ulotkę trzeba zrobić, żeby tego papieru nie spalić, a coś wydać, żeby to poszło!”. Znaczką dla „Regionu” żeśmy zrobili: to były trzy takie znaczki dla „Regionu”.

### **Czyli, w zasadzie, jako drukarz pracował Pan do końca?**

Tak, do końca. Moja druga drukarnia wpadła, jak ja byłem już w Paryżu, ale to do Paryża pojechałem tylko dlatego, (bo chodziło o części do maszyn) że mi Grześ Boguta zaproponował, (bo dostawali odmowy na paszport), żebym ja spróbował. Mówię: „Grzesiu, nie dostanę.”. Mówi: „Spróbuj, a może.”. I okazało się, że dostałem, tylko że oni do mnie z prośbą, żebym więcej nie wracał. A ja im powiedziałem: „To ja muszę najpierw zobaczyć, jak tam jest; [wtedy zdecyduję] czy ja wrócę, czy nie wrócę.”. Przywiozłem i części [do maszyny] i maszynę do składania pisma. Do Polski można było wwozić komputery, bo się ich nie cłiło, bo przecież było embargo na komputery do Polski, a ja przywiozłem maszynę do pisania IBM i pomyliłem się. Powiedziałem, że to komputer, więc wypędzili mnie z tego cła. Jako jedyny z tego samolotu stanąłem przy ciele. Dla mnie wszystko to, co mechanicznie zaczynało chodzić, to był komputer i koniec kropka. W Paryżu, jak miałem [gdzieś] dojechać, to takich dzieciaków podglądałem, bo

oni byli niżsi i patrzyłem, jak on wrzucał tam 20 franków, że mu to resztę wydawało. Ja mówię tak: mam papierki, to tyle kosztuje, to mi żal było wrzucać, bo człowiek tak głupio przeliczał wtedy, bo wtedy takie czasy były. Zapalniczka za dolara to była droga, jak się tam pojechało, a jak się tam robiło to już nie. Tak że powiem Panu, nie miałem jakiś takich represji. Ten lokal na drukarnię w Leśnej Podkowie dał, teraz po czasie już wiem, niejaki pseudonim „Kajtek”, współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa. To był 88 rok. I ja tam robiłem dodruk Nowerlego „Zostało z uczty bogów”. No i on wpadł. Ja pojechałem do Paryża, a odebrać [wydruk] pojechał kolega Witmański. On się dowiedział i mówi: „Emil, całe życie kaca moralnego [miałem], ja myślałem, że ja tobie tam ogona przyciągnąłem”. No bo jego też tam podglądali, tak jak Marka Kubina, on wyjechał do Stanów. Zadzwoiłem do niego do domu o zwolnienie lekarskie i miałem hasło. On skończył studia lekarskie. Oni obaj skończyli [medycynę] i to tylko Kubin pracuje [w zawodzie]. No ja mówię: „Słuchaj, potrzebne mi zwolnienie lekarskie, 5 dni.”, bo to był numer domu podany. A tu drugi głos słyszę: „Mam i was, te lewe zwolnienia.”, bo to podsłuchiwał pała Kubina (bo ja z budki telefonicznej dzwoniłem). A ja mu powiedziałem: „Ty głupi, taki nie taki – mówię - to jest nasze hasło, teraz je rozszyfruj, jak podsłuchujesz! Ja nie pracuję, chcesz, to ci się przedstawię, durniu! Mnie zwolnienie nie potrzebne, bo nie pracuję i nie ma pracy.”. W międzyczasie właśnie prowadziłem pralnię. Zaraz po wyjściu z więzienia prowadziłem pralnię i to skupowałem tam papier, to uruchamiałem maszyny. Tam mnie nieraz, jak była potrzeba, wysyłała „Nowa”, a później, po czterech miesiącach wróciła właścicielka. Mnie tam załatwili Romaszewscy, bo właścicielka wyjeżdżała do Szwecji. No i rzeczywiście na tej pralni troszeczkę jej tam rozruszałem [interes], no bo to był początek. Wysłałem do ubeków pocztówki z zaproszeniem do prania. Rzeczywiście zaczęli przyjeżdżać. Później miałem sanepid na plecach, gdzie na kolegium mnie podali, no więc ja do ubeków zadzwoniłem, że chcą mnie zniszczyć, a więc ten z sanepidu na drugi dzień mnie poprosił, przyleciał: „Panie, trzeba było powiedzieć, że masz Pan takie znajomości.”. Wycofał się z tego kolegium. Ja mówię: „Nie mam takich znajomości, proszę Pana, tylko ja łapówek nie daję, nie biorę i nie chcę od Pana brać i dawać.”. On mówi: „Wie Pan, mnie ciężko.”. „To idź Pan do huty, tam Panu będzie lżej!” To była taka moja odpowiedź. Punkt przyjęć prowadził mi facet i on mówi, że „ty jesteś świeży, to ty nie wiesz, trzeba od razu kilka tysięcy w kieszeń i ma się spokój na jakiś czas”. Ale ja tego nie wiedziałem. Dlaczego ja mam właściwie dawać w kieszeń? Brud, kurz mi poszukał na regale, przy suficie, idiota. Było wszędzie dobrze, ale tam znalazł. I pamiętam też, jak papież przyjeżdżał po 86 roku do Polski, to też przyszli do mnie i powiedzieli, że mają informację, że ja chcę dokonać zamachu na Jana Pawła II, i że na czas przyjazdu papieża chcieliby, żebym ja był w domu. Ja się na nich tak popatrzyłem: „taki areszt domowy, tak?”. Oni mówią: „tak, dokładnie”. Ja mówię: „Dajcie mi na piśmie!”. No to już na piśmie mi nie dali. Mówią: „Ale jak Pana złapiemy, to będzie Pan żałował.”. Ja mówię: „W porządku, na pewno będę na trasie, niech się Pan nie przejmuj. Niech mnie Pan tam szuka. I będę.”. I byłem. Jeszcze ta właścicielka, to było jakoś przed jej wyjazdem do tej Szwecji, ona mnie tam przyuczała. Maszynę z Kielc sprowadziłem. Miałem im za tę maszynę dostarczać po 100 egzemplarzy każdej książki, każdej pozycji „Nowej”, żeby oni w Kielcach mogli sobie sprzedawać na związkowe [sprawy]. Żal mi było tych chłopaków. Oni tam nie mieli gdzie tego drukować. W Kielcach zaprowadzili mnie na plebanię, żebym drukował. Ja tę maszynę przystosowałem, obejście zrobiłem, że to drukowało, ale ja powiedziałem: „Słuchajcie, jak wy sobie wyobrażacie, że tu przychodzą na plebanię interesanci, okna mam od ulicy i zaraz wejście na plebanię. No jak tam można drukować?”. Jakoś mi się łatwiej w Warszawie i w okolicach Warszawy drukowało. Zawsze podziwiałem tych ludzi w małych miasteczkach, jak oni sobie dawali z tym radę. Tu było łatwiej się ukryć.

**Chciałbym teraz przejść do ogólnej oceny stanu wojennego: może najpierw te pozytywne rzeczy, jakieś znajomości, te dobre owoce stanu wojennego...**

Dobre - to poznałem mnóstwo wspaniałych ludzi.

**Może jakieś kontakty zagraniczne?**

Kontakty zagraniczne to nie. Z tymi co powyjeżdżali, rzadko bo rzadko utrzymujemy [kontakty], ale tutaj się spotykamy z tymi ludźmi, na przykład z tą „Solidarnością” z Ursusa. Roman Bielański zaproponował, że może zamiast na pogrzebach, żebyśmy się raz w miesiącu spotykali. No więc spotykamy się raz w miesiącu i po prostu gdzieś idziemy, umawiamy się w knajpkach, w każdy pierwszy piątek miesiąca o 18. No i może 30 osób na raz z tego Ursusa nie przychodzi, ale zawsze te 12 do 15 osób jest. I wiadomo, że [jeśli] nie będę w ten piątek, [to] przyjdę na następny, któryś z kolegów będzie. Ja uważam jest to przyjemne, bo sobie pogadamy, ponarzekamy wspólnie. I jakoś rzeczywiście się spotkamy, bo ostatnio to tylko na tych pogrzebach żeśmy [się widywali].

**Czyli są to przyjaźnie, które trwają do dzisiaj?**

Tak, na przykład Witek Łuczywo wyprowadził się z Warszawy i stale mnie zaprasza. Dzwonię do niego. Jak nie odbierze, to on mi oddzwania, bo to też ważne, bo mógłby mnie olać. Chłopak się dorobił rzeczywiście, nie narzeka. Witek Kaszuba z Ursusa też się dorobił. Swoją firmę komputerową włożył na giełdę. To trochę niezręcznie, bo ta giełda leciała. On to zrobił w grudniu. A więc też mógłby się na nas wypiąć, do nas się nie odzywać. Z tego co wiem, to jak potrzeba pomaga naszym chłopakom z Ursusa. Zbyszek Janas jest cały czas z nami w kontakcie. Jak robimy jakieś tam jajeczko, czy wigilię, nieraz wpada na spotkania, nieraz na działkę nas wszystkich zaprasza. Tam każdy coś ze sobą bierze. Wiadomo, że [jak] przyjeżdża tam trzydziestu chłopca, czy tam dwudziestu z żonami, [to] weź te gęby wykarmij. Tak że każdy coś przywozi. Jestem w Stowarzyszeniu Wolnego Słowa. Tam znowuż spotykam kolegów z podziemia, z którymi żeśmy robili. Pamiętam pierwsze spotkanie zrobił Mirek Chojecki. Ja nie mieszkałem tu, bo przyjeżdżając z Ameryki wylądowałem w Lubuskim. Przyjechałem tutaj specjalnie. Byłem tym zachwycony. Pamiętam było nas wtedy chyba z 600 osób w Pałacu Kultury. Z całej Polski się ludzie pojeżdżali. Jak się nie widziało kogoś kurde 20 lat w mordę kopane albo się po pseudonimie kogoś tam [znało], że ten był tak, a ten tak... Rzeczywiście się człowiek i wyczałował i koleżanki wspaniałe, coś niesamowitego.

**Pan jaki miał pseudonim?**

„Bąbel”. Andrzej miał „Gruby”. Na początku miałem „Andrzejek”, ale to podsrywałem swojego kolegę Andrzeja. Powiedziałem: „Tak nie może być.”. Później mnie „Bąbel” zaczęli [nazywać]. To Andrzej przeważnie wymyślał.

**Wspominał Pan, że ci inni jak np. Łuczywo dorobili się finansowo, a jak to obecnie wygląda u Pana?**

Ja byłem 10 lat w Stanach. Jak Okragły Stół się zaczął, ja wyjechałem do Stanów, dokładnie jak się zaczął. On parę dni trwał, jak ja pojechałem. Z tą pierwszą żoną to już był rozwód. To już była inna rzecz. A drugą, tę Anię, to poznałem właśnie w Stanach. Poznaliśmy się pod ambasadą Chińską przypadkowo. Właściwie poszedłem tam, bo w radiu polskim podali, że Chińczycy protestują pod ambasadą, jak rozjechali tę młodzież na tym placu. I tak siedziałem sam, pamiętam. To były takie moje początki w Chicago. Do Dalton (dzielnica Chicago?) – mówię - to ja sobie pieszo pójdę, bo mam prostą

drogę. W takiej dzielnicy ukraińskiej zamieszkałem. Pójdę pieszo, bo oszczędzałem nawet na autobusie. Pieszo mi to zajęło godzinę, a więc nie było tak strasznie. I tam zacząłem chodzić w kółko [przed ambasada]. Nie wiedziałem, o co tym Chińczykom chodzi, ale wiedziałem, że tam rozjechali tę młodzież. Więc oni mnie poklepywali, ale później patrzę: tu Polak, tu Polak, i zaczęliśmy tak w grupie [stać]. Coraz więcej nas było. Okazało się, że bardzo dużo Polaków było. Stan Borys tam przyjechał. Poznałem go. Bardzo go cenię. On nie tyle protestował, jak [był] stan wojenny w Polsce, ale jak potrzeba było jakiemuś dziecku z Polski pomóc finansowo, (bo przyjeżdżało tam na leczenie) to potrafił zorganizować koncert, żeby finanse poszły dla tego dzieciaka. On nigdy tu w telewizji o tym nie mówi. On nie mówi, a on niesamowitą robotę robił.

### **Czy po powrocie do Polski wrócił Pan do pracy w Ursusie?**

Nie, kto by mnie przyjął. Tutaj jak tylko wróciłem do Polski, to procesowałem się 2 lata z Wrzodakiem. Chodziło o to, żeby mi zaliczyli okres nieskładkowy od tego, co się ukrywałem do Okrągłego Stołu. A więc żeby to mieć, to musiałem mieć takie [zaświadczenie], że mnie zwolnili za porozumieniem stron z dniem 1 stycznia 82 roku. A Wrzodak blokował, nie chciał na to zgody wydać. Przez 2 lata ja z Lubuskiego tu przyjeżdżałem do Sądu Pracy. Z żoną wylądowałem w Lubuskim. I Wrzodak mi to strasznie blokował, przykro mi, a wiem za co. Jak któryś polityk przyjeżdżał [do Lubuskiego], to starałem się, żeby tam koło niego być. Grześ Boguta z „Nowej” na targi przyjeżdżał, to [go] ściągałem, żeby spał u mnie, [a] nie w hotelu, bo to zawsze komuś przyjemniej spać w domu, niż jak palec [samemu] siedzieć wieczorem w hotelu. I Wrzodaka ściągnąłem. On spał sobie w hotelu, ale cały dzień go wozilem. I zwróciłem mu uwagę, ale uważałem, że jak zwracam uwagę, to jak koledze. Ja powiedziałem: „Zygmunt, ja ciebie odbieram jak brunatne koszule i czerwone koszule, trochę tego, trochę tego. No i ty musisz zmienić – mówię - drugie spotkanie masz, a ci coraz mniej ludzi przychodzi.”. A on (później mi koleżanka powiedziała) przyjechał do Ursusa i powiedział, (on wiedział, że ja już na jesieni wracam [do Warszawy], bo on był na wiosnę, bardzo wczesną wiosną, bo jeszcze był śnieg) że jak ktoś z Broniarkiem się tu spotka, to wyrzuci z roboty. I od tej pory on mnie blokował, dlatego że mu powiedziałem, ale to w oczy, prawdę. To powinien się trochę zastanowić, co mówi. I dlatego go zacząłem uważać, i nie wstydzę się tego powiedzieć, za straszną gnidę. Rozprawiła się z nim wreszcie (tutaj pod pomnikiem w Ursusie) moja matka. Każdy się go bał, bał, i kobieta 75 lat, dwa lata temu, poszła i go nie puściła, żeby złożył kwiaty. Były sztandary z Radomia i z innych [zakładów]. Matka powiedziała: „Wy, proszę bardzo, on, nie!”. To ci Radomiacy poprosili matkę, żeby z nimi złożyła te kwiaty tam pod tym pomnikiem.

### **Mama jeszcze żyje?**

Tak, ma 77 lat i jeszcze żyje. I moja matka z moją siostrą z Żyrardowa zatrzymała ich. Mnie koledzy trzymali, żebym tam awantury nie zrobił. Matkę przecież przewrócili.

### **Jaki ma Pan po latach stosunek do całej tej działalności opozycyjnej?**

Miło to wspominać, bo po latach to się wspomina. To się na zdrowiu poodbijało trochę. Może jak bym tego nie robił, to co innego bym robił. Nie wiem, może bym został alkoholikiem, bo to różnie bywa, może złodziejem, może bandziorem, no trudno mi powiedzieć. Ja się zainteresowałem tym, bo taka pustka w pewnym momencie była.

No szkoda, że ta „Solidarność” to już nie jest to. Zresztą nienawidzą nas, tych starych nienawidzą. Oni z nami nic nie chcą zrobić. Pokazałem im ostatnio siłę. Taki żeśmy zrobili [transparent] z napisem „Nasz Ursus” i do wszystkich dzwoniłem, że idziemy jako

„Nasz Ursus”. Pokazałem im siłę. Oni myśleli, że na ich zawołanie przyszedliśmy. Oni mieli tylko poczty sztandarowe, a my ludzi. Nawet Antoś Macierewicz z nami szedł. Ja do niego zadzwoniłem, pamiętam, właśnie przed tym [pochodem] i mówię: „Cholera, czy wy się nie możecie wreszcie pogodzić, takie bezrobocie w Polsce, a może tak się skrzyknąć, pogadać, co zrobić, żeby ta praca była.”. Taki starałem się być ugodowy, ale tu się nie da. A muszę powiedzieć Panu, te antysemitki wypowiedzi przy pomniku, to też mnie szlak trafiał. Niektórzy mówią, że ja popieram PIS, a ja powiedziałem, że wcale nie popieram, bo mam też dużo zastrzeżeń. Nie jestem w żadnej partii, ale, jak zaczynało pluć przy pomniku na Żydów, to zauważyłem, że ludzie z PIS-u odchodzą, czego o innych partiach nie mogę powiedzieć. Była pani burmistrz, pani Łukaszewicz nie cierpi mnie jak ognia. Ona była rzekomo bezpartyjna. Okazało się, [że] z listy PO jest teraz w Radzie Warszawy. Ona zawsze wysłuchiwała do końca tych bzdur. A my, jak cokolwiek teraz będziemy robić, to na pewno nie zaprosimy nikogo z gminy, bo obiecali nam, że zwrócą pieniądze za tablicę. Zapłaciliśmy ze swoich pieniędzy. Myśmy nawet nie chcieli od nich tych pieniędzy, tylko sama gmina powiedziała, że nam zwrócą. A już wiem, o co tym bonzom chodzi: pokazać swoje gęby w prasie, w telewizji, że oni są. Tylko ja nie wiem dlaczego? Za nasze pieniądze. Niech się bujają, [niech] robią swoje spędy. Szkoda. Jest tu burmistrz z Platformy. Robi dla tego Ursusa, robi, ale szkoda, że obchody robi sobie rano. Robi dla siebie i dla sztandarów szkolnych? A my chętnie byśmy przyszli. My chętnie byśmy przyszli większą grupą.

### **Czyli jest jakiś żal?**

No tak. Tylko że my sami możemy to zorganizować i organizowaliśmy. Były obchody „Solidarności”. Dostałem zaproszenie do Gdańska, pojechałem, przyjechałem. Żałowałem, że pojechałem. Obchody były [też] tu, to chciałem się dogadać z tą „Solidarnością”, no to zaczęli obchody robić przy parafii, gdzie ksiądz Jerzy urzędował. No przecież tam „Solidarność” nie powstała, tylko tu. Poczym ja zwołałem wszystkich tych niezaproszonych przez aktualną „Solidarność”, wszystkich tych sprosiłem tu [do Ursusa]. Okazało się, że później ludzie zaczęli mówić, że to był największy spęd i największe obchody. No ale to też zrobiliśmy jako „Nasz Ursus” ze Stowarzyszeniem Wolnego Słowa. Zbyszek Janas wyjął kasę na piwo, że można [było] piwa się napić. Żeby taniej [było] to żeśmy zrobili taką grochóweczkę i to piwo. I rzeczywiście taki duży spęd był, tak jak Mirek [Chojecki] zrobił kiedyś w Pałacu Kultury, ale dotarłem do wszystkich tych, co zakładali Region Mazowsze. Może nie wszyscy przyjechali, może mi się nie udało wszystkich [namówić], bo docierałem [do wszystkich]. Zaczęliśmy to odnawiać. Wszyscy nam dziękowali. Szkoda, bo w czwórkę żeśmy wystąpili tu z Ursusa z tym [pomysłem], a dwóch już nie żyje. Pozabierali się wcześniej na dodatek. Boguś Rogowski miał trochę lat, a Czesiu Latusek na serce. Boguś Rogowski na raka, ukrywał to. Ja już teraz wiem dlaczego on dążył, żeby ta tablica była. On już rok później usiadł na kamieniu z boku i do mojej matki powiedział: „Wandziu, już się więcej nie będziemy widzieli!”. Moja matka go bardzo lubiła, a on moją matkę. Ale Boguś, pamiętam jak mi zaproponował z tą tablicą, żeby ją założyć, że w tym miejscu powstał Region Mazowsze, to on mi powiedział, po czasie zrozumiałem: „Żebyście Emil mieli gdzie się spotkać.”. A więc już z tym się liczył, że jego nie będzie. A on nawet żonę oszukał, nie powiedział, że ma raka i Heńka Wujca. Pierwszy zjazd Regionu Mazowsze organizowała Ludka Wujec i tych ludzi zapraszała. I on miał tam przemawiać. On był chory, a więc padła propozycja, żebym ja mówił za niego. Właściwie ja mówiłem za niego. Jeszcze powiedziałem, że on jest chory. Lekarze się zgłosili, trzy dni później on zmarł. Jeszcze żona mówi, że dzień wcześniej poszedł sobie na gliniankach popływać. Ale on już tak słabo się czuł, że już nie chciał jechać na ten spęd. Później ten Czesio Latusek. No Czesio Latusek to był zawsze u nas do kontaktów z Kościołem. Też tak mu



się zmarło biduli. Też tak jakoś dziwnie. Cieszył się, że dostanie większe pieniądze, (taką pomostową emeryturę mu dawali) że będzie miał 500 złotych więcej. I do swojej żony powiedział: „Wreszcie, babo, będę mógł się piwa napić, ile będę chciał, za te 500 złotych, bo to moje, tak żeś mi obiecała.”. Bo ona mi to mówiła. Polatał gdzieś polatał, przyleciał, mówi: „Wiesz co, źle się czuję.”. Położył się, no i zmarł tak chłopak. No szkoda. I po tym Czesiu taka padła decyzja, żebyśmy co miesiąc się spotykali. No i się spotykamy. Pracuję tutaj na tym osiedlu w spółdzielni jako kierownik. Są ludzie co mnie popierają, są ludzie, co mnie nie lubią. Jak ktoś był w PZPR, to mnie nie będzie lubił. Druga [sprawa]: podzielili zakład. Jest co jest, uważają, że to „Solidarność”, a ja tak powiedziałem: „Bardzo was, Państwa, przepraszam, od 80 roku nie pracuję w Ursusie, byłem oddelegowany do Regionu Mazowsze, no więc – mówię - przepraszam was bardzo, Ursus się posypał pod koniec lat 90-tych, dwadzieścia lat po mnie.” Jak ja tu wróciłem do Ursusa, to był taki dość ciekawy problem. Ja strasznie przytyłem, więc zacząłem odwiedzać tam tych kolegów. Byli strasznie rozgoryczeni, podłamani. Dopiero zacząłem im tłumaczyć: „Słuchajcie, nie bierzcie pod uwagę drugiej „Solidarności”, tylko weźcie tę pierwszą!”. „A cośmy osiągnęli?” Ja mówię: „Nawet to, że nie ma sowieckich wojsk w tym kraju. Popytajcie ludzi, ci co pamiętają, no to nie mają chociaż kolejek za tą wędliną.”. Moja matka najlepiej powiedziała, bo tak jej spytałem kiedyś, a matka mówi: „Synu, słuchaj tak, wtedy mi brakowało pieniędzy, teraz mi brakuje pieniędzy, ale w kolejkach nie muszę stać.”. To jednak ona taką różnicę widzi. Ja pamiętam, jak w nocy wychodziła do kolejki, stała całe noce, nieraz przyszła zziębnięta zimą nad ranem, mówi: „Nic nie dostałam.”. Nad ranem poszła jeszcze [raz]. O 10 sklep otworzyli, no to ona jeszcze poleciała. Nic nie dostała, bo do niej nie doszło. Zziębnięta jak wszyscy diabli. Z drugiej zmiany szła w kolejkę po to, żeby wyjść z tej kolejki na drugą zmianę i znowu iść do roboty. Niektórzy mają krótką pamięć. I tutaj pokutuje ten socjalizm wśród ludzi, że wszystko im się należy, wszystko im się należy darmo. Młodzi nie, bo wiedzą jak te mieszkania nowe kupują, jak się zadłużają, ale ci starsi, tak prawdę mówiąc, te mieszkania darmo dostawali. I opowieści, że on te mieszkanie wtedy drogo zapłacił. Nie, bo ja wiem jak Ursus dawał na to, żeby wykupić w spółdzielni mieszkanie, dawał pożyczki, które umarzał, oczywiście nie wszystkim, ale wybranym. Talony na samochód, Pan młody człowiek, to Pan ich nie pamięta, ale dostać raz w roku talon na samochód, to tak jak by Pan dostał w prezencie samochód, bo talon sprzedał jak nowy samochód. Czteroletnią pensję chciałby Pan dostać, nie? A swojakom się dawało. To była kpina. Mówili, że wszyscy równo zarabiali, tylko że nie [wszystkim] dodawali. Niektórzy raz do roku dostawali ten talonik. Ale ja nie rozumiem tych ludzi. Ci, co kablowali, mają dobrą robotę, a nieraz i bardzo dobre firmy. Ustawiono ich równo. I to jest prawda. W tej chwili, jak [wcześniej] nie miałem żadnego problemu, tak teraz widzę, że to jest prawda. Bo jak osoba, która Pana nie zna, tak jak mnie, (ja nie chcę mówić nazwiska) a zeznaje na przesłuchaniach, (maj albo czerwiec 82 roku, a więc jeszcze najgorszy stan wojenny), że ja drukuje „Tygodnik Mazowsze” i książki „Nowej”, to [skoro] ta osoba sypała swoich kolegów, to po co na mój temat mówiła? Ona mówiła więcej niż od niej chcieli. To jest w porządku? Jeszcze zrozumiałbym jakby pobili, ale że ona usłyszała tylko od kogoś i ona sama o tym mówi? Wręcz z tego przesłuchania [wynika, że] powiedziała to raz, a za chwilę wraca z powrotem i podaje moje nazwisko. Od tej Justyny [Błażejewskiej] mam to dostać, żebym sobie przeczytał. Właśnie od niej też wiem o tym, że ten lokal miałem trefny, ale [wciąż] nic nie wiem o 85 roku, o tej wpadce. To mnie interesuje, co się działo. Mnie to cały czas zastanawia: jak to się właśnie dzieje? A ci ludzie mają. Tak jak ten, co kablował w Gazecie Wyborczej robi. My mamy o to tylko żal, o nic innego. A wie Pan z czego się cieszymy? Że jak wejdzie ta ustawa kombatancka, (bo to dla tych naszych chorych kolegów o nią walczymy) to w niej jest, że ci, co kablowali, nie dostaną żadnych pieniędzy. To jest jedno takie moje

pocieszenie, że IPN będzie wydawał opinie: czy dawać, czy nie. No bo jak brał pieniądze skąd indziej? I to wiele osób jest rozżalonych. Jak poszedłem do tego Józka chorego, to nie wiem, ja nie umiem chorą osobą tak pomóc, ale widać było, bo się chłopina nie rusza, oczy te mu się zaszkliły, ścisnął mnie tę rękę... Wziąłem go, ucałowałem, pogłaskałem go po tej głowie. No co ja mu mogę więcej zrobić? Ta bezsilność moja, że ci ludzie są chorzy... Wziął jego dane Zbyszek Janas i chce wystąpić, żeby premier przyznał mu taką rentę, to jest 600 złotych. Niech da, jeszcze pół roku wezmą, czy rok. On już jest chłopina nad grobem. Zanim ta kombatancka ustawa wejdzie (albo i nie wejdzie), to jeszcze z dwa lata potrwa. Ja nie wierzę, że [wejdzie] w przyszłym roku w styczniu. Ja to czekam na jedno, że od sześćdziesięciu daliby nam te emerytury i byłbym szczęśliwy, jak byłbym szczęśliwy. Tak zmęczony się czuję, że nie wiem. Jeszcze 4 lata. Jezu, jakbym do góry skakał, Boże kochany. To by mi zrekompensowało [wszystko]. Jeszcze też nie wystąpiłem o te odszkodowania, o te 25 tysięcy, co zaproponowali.

### **Ale zamierza Pan?**

Takie mieszane mam uczucia, ale jak się wkurzę, to wystąpię. Dużo moich znajomych wystąpiło. Właściwie wiem ile i którzy wzięli dużo więcej. Brali od 100 tysięcy do pięciuset. Znam takiego, co 3 miesiące posiedział i wziął stówę. Znam takiego, co 5 miesięcy i też dostał stówę i klnie, że nie wystąpił o więcej.

### **Bardzo dziękuję za rozmowę.**

Dziękuję bardzo.